

Przegląd Polski

TYGODNIOWY DODATEK KULTURALNY **nowego dziennika**

8 STYCZNIA 2010

EDWARD ZYMAN

“W nim życia smak i świata urok”

Czytelnik znający renomę zasłużonej krakowskiej oficyny, który zechce odnaleźć w książce Jerzego Illga *Mój Znak* solidny, monograficzny zapis jej dokonań, może odczuć srogi zawód.

Jako rekompensatę otrzymuje jednak znacznie więcej: barwną, błyskającą fajerkami niebanalnego dowcipu, inkrustowaną nadzwyczajną mnogością wyrafinowanych anegdot, ale równocześnie nasyconą głęboką refleksją i błyskotliwymi wywodami o wybitnych postaciach, niezwykłych zdarzeniach i ważnych książkach, własną opowieść pisaną – zgodnie z sugestią Wiesława Myśliwskiego – z najbardziej osobistej, intymnej wręcz perspektywy.

MÓJ ZNAK URZĘKA NIE TYLKO TREŚCIĄ, ale także wyjątkowo urodziwym kształtem edytorskim zaprojektowanym przez Witolda Siemaszkiewicza: wysmakowanym i przemyślanym.

Ta bardzo prywatna opowieść o życiu reaktora naczelnego i “jego” wydawnictwie mogła powstać tylko dlatego, że władze Uniwersytetu Śląskiego w pamiętnym 1982 r. orzekły, iż “nie widzą żadnej możliwości wyegzekwowania od mgra Jerzego Illga właściwej realizacji zadań socjalistycznej szkoły wyższej”.

Historia bywa często przewrotna, ale figiel, jaki uczyniła zadufanym w swą omnipotencję partyjnym decydom stanu wojennego, winien być przestrożą dla wszystkich funkcjonariuszy totalitarnych struktur wszelkiej maści. Oto bowiem okazało się, że tępy dogmat przyczynił się pośrednio do wykreowania zjawiska, które, drwiąc z wciśniętej w gorset restrikcji polityki kulturalnej PRL, stało się trwałą wartością kultury wolnej Polski.

ANONIMOWYCH AUTORÓW “DYSKREDYTUJĄCEJ” OPINII, która w sposób decydujący zaważyła na jego dalszym życiu, Illg traktuje z łagodną wyrozumiałością, co specjalnie nie dziwi, wszak to dzięki nim, jak pisze, “Fortuna okazała się dla mnie nad wyraz łaskawa, w najbardziej odpowiednim momencie przełożyła zwrotnicę, dzięki czemu życie moje potoczyło się zupełnie nowym torem”.



Wisława Szymborska i wydawca jej książek Jerzy Illg, redaktor naczelny Znak

Czytając jego wspomnienia “o noblistach, kabaretach, przyjaźniach, książkach, kobietach” uświadamiamy sobie, że prestiż i sukcesy wydawnicze Znak są konsekwencją wielu czynników, wśród których być może najważniejszym jest to, że jego redaktor naczelny, otoczony zespołem o najwyższych kompetencjach, traktuje swoją profesję co najmniej niekonwencjonalnie. Jest w tym określeniu nie przygana, lecz podziw płynący z faktu, że dla Illga zawód wydawcy to nie tylko pasja i przygoda, ale także nieustanne poszukiwanie nowych, zaskakujących form promocji autorów i ich książek.

Z WPISANEGO W ÓW ZAWÓD PRZYWILEJU, że każdego niemal dnia staje się przed szansą natrafienia na nowe dzieło, które może oka-

zać się arcydziełem, wyciąga genialny w swej prostocie wniosek. Można go scharakteryzować następująco: wydawnictwo nie powinno być jedynie instytucją, do której autorzy przynoszą (bądź przesyłają) maszynopisy czy wydruki komputerowe swych tekstów. Jeśli we współczesnym świecie, tak lekkomyślnie dystansującym się od ambitnego słowa drukowanego, chce pełnić istotną funkcję, musi być czymś znacznie więcej: dynamicznym centrum kultury, rozsądnikiem inspirujących inicjatyw, gejzerem pomysłów, środowiskiem ludzi, głównie pisarzy, ale nie tylko, oddanych bez reszty kulturze. Inaczej mówiąc, wydawnictwo nie może czekać na twórców, winno do nich nieustannie wychodzić, zachęcać, mądrze prowokować i nade wszystko skupiać wokół sie-

bie jak najszerzy krąg bezinteresownych przyjaciół słowa. I takim właśnie centrum jest krakowski Znak, co potwierdza Illg niemal na każdej stronie książki.

CZYTAMY W NIEJ PRZEDE WSZYSTKIM o nieprzeciętnych postaciach kultury, ale także o znaczących konsekwencjach najnowszej historii, które wpisały się nie tylko w ich dzieła i prywatne biografie. Paradoksalnie zdecydowały one również o przyszłych losach krakowskiej oficyny. “Władze – skoncentrowane na rozprawianiu się z podziemną Solidarnością i opozycją demokratyczną – szły na ustępstwa wobec Kościoła, przynajmniej koncesje na działalność wydawniczą diecezjom, zakonom i prowincjom. Przed Znakiem otwierała się w tej sytuacji nowa, historycz-

na szansa. Kościelne czasopisma i wydawnictwa odciążały go z obowiązku dostarczania czytającej publiczności «strawy nabożnej». Nie zaprzeczając swej misji i pozostając oczywiście wydawnictwem katolickim, poszerzył swój profil, otwierając się w większym niż dotychczas stopniu na eseistykę, historię, literaturę piękną i poezję”.

Właśnie poezja (choć nie tylko) stała się obszarem wzmożonej aktywności Jerzego Illga. To właśnie decyzją o wyborze wierszy Thomasa Mertona, którego dwa dziesięciotysięczne nakłady znalazły szybko czytelników, udowodnił swą edytorską intuicję i znakomite rozeznanie rynku. Lat 90. przyniosły znaczne rozszerzenie listy autorów wydawnictwa reprezentujących pełny wachlarz pisarskich gatunków.

► **1 WIZYTÓWKĄ KRAKOWSKIEJ OFICYNY** są m.in.: Barańczak, Brodski, Coetzee, Czaykowski, Davies, Dostojewski, Eco, Fukuyama, Hartwig, Heaney, Herling-Grudziński, Huelle, Kapuściński, Kołakowski, Krynicki, Kutz, Llosa, Miłosz, Myśliwski, Przybylski, Skarga, Szejnert, Szuber, Szymborska, Tischner, Twardowski, Wojtyła, Woźniakowski, Zagajewski – wymieniam garść nazwisk, które mówią same za siebie. Każde z nich ściągało jak magnes nie tylko czytelników, ale także kolejnych znakomitych autorów. Wiele z tych lawinowo przyrastających kontaktów redaktora naczelnego przekształciło się w związki przyjaźni przynoszące imponujące efekty wydawnicze.

“W gronie najbliższych przyjaciół – wyzna Illg we wspomnieniu o Miłoszu zamieszczonym w rozdziale zatytułowanym *Znakomitości* – zwykliśmy powtarzać sobie, że należymy do uprzywilejowanego pokolenia, które – podobnie jak współcześni wspominający wieczory u Mickiewicza czy spotykający Słowackiego – będzie zawsze miało świadomość daru, jakim było obcowanie z ludźmi tworzącymi historię i za życia stającymi się legendą”.

Te dwieście pięćdziesiąt stron (tyle liczy rozdział *Znakomitości*) to nie tylko zapis osobistych, serdecznych wspomnień Illga o jego kontaktach z wybitnymi twórcami i ich celne, soczyste pisarsko charakterystyki, nie tylko relacje z licznych naukowych i dziennikarskich, pełnych interesujących spostrzeżeń i refleksji podróży. To także świetnie napisane fragmenty rozpraw i esejów o poszczególnych książkach, ich losach, przygodach i pomysłach edytorskich. Zwłaszcza obszernie (50 stron) wspomnienie poświęcone autorowi *Doliny Issy* jest pasjonującym esejem biograficznym, ukazującym Miłosa jako twórcę i jako człowieka.

JEŚLI POZNANIE CZESŁAWA MIŁOSA i przyjaźń z nim były dla Illga jednym z największych, wzbogacających duchowo przeżyć, to pojawienie się Stanisława Barańczaka stanowiło prawdziwy przełom. “Staszek okazał się opatrnością, wiodącym przewodnikiem po literaturze, nie tylko jako tłumacz, eseista i poeta. Gdyby nie on, nie poznalibyśmy tłumaczonych przezeń autorów: Józefa Brodskiego ani Seamus Heaney. Przez nich obu uważany był – całkowicie słusznie – za geniusza, a podziw, wdzięczność i przyjaźń, jaką dla niego żywili, ułatwiła mi pierwsze z nimi kontakty i dała już na wstępie kredyt zaufania i serdeczności”.

Błyskotliwe, niestroniące od żartu, nasycone kapitalnymi scenkami rodzajowymi wspomnienia czytają się jak najlepszą, trzymającą w nieustannym napięciu powieść. Przypomnę zaledwie dwa, ale jakże charakterystyczne przykłady. Opisując wizytę Barańczaka, który w 1990 r. został zaproszony na gościnne wykłady przez władze Uniwersytetu Jagiellońskiego, Illg przypomina, że cieszyły się one wśród studentów ogromną popularnością. Zdjęcie z przepelnionej auli Collegium Novum umieszczone w wychodzącym wówczas *NaGłosie* Bronisław Maj opatrzył podpisem: “Straszny sen Mariana Sępni: prof. Stanisław Barańczak wyklada na



Kolejny noblista publikujący w *Znaku* – irlandzki poeta Seamus Heaney (po prawej) z Jerzy Illgiem

Uniwersytecie Jagiellońskim”. A oto przykład drugi, “amerykański”, nawiązujący do niezwyklej umiejętności translatorskich autora *Chirurgicznej precyzji*. Jan Kott zadzwonił kiedyś do domu państwa Barańczaków (telefon odebrała “mała” Ania) i zapytał: “Czy mogłabyś poprosić tatę do telefonu?”. Zakłopotana i rezolutna córeczka wyraziła wątpliwość: “Nie wiem, bo właśnie tłumaczy *Hamleta*”. Kott odpowiedział najzupełniej spokojnie: “To ja poczekam”.

KOGO JESZCZE POZNAJEMY dzięki Jerzemu Illgowi? Gretę Garbo polskiej poezji, jak nazwali Wisławę Szymborską szwedzcy dziennikarze; fenomenalnego Josifa Brodskiego; księdza profesora Tischnera – góralską nawałnicę o rzadkim poczuciu humoru; zakonchanego w Polsce, wybitnego historyka i znakomitego pisarza Normana Daviesa; jednego z najwybitniejszych współczesnych filozofów Leszka Kołakowskiego; genialnego reportera, głębokiego myślicie-la i wędrowca, dla którego życie – jak stwierdził w jednym ze swych wierszy – jest z przenikania w głąb, Ryszarda Kapuścińskiego; irlandzkiego noblistę Seamusa Heaney; człowieka wyjątkowej dobroci, wybitnego poetę ks. Jana Twardowskiego; światowej sławy kardiochirurga profesora Szczeklika i wreszcie *spiritus movens* wielu niezapomnianych, osadzonych w niebanalnej refleksji intelektualnej i literackiej zdarzeń kulturalnych z pogranicza teatru, kabaretu i prowokującego “pocziwe” gusta happeningu, poetę, wydawcę i wykładawcę uniwersyteckiego Bronisława Maja.

ZASPOKOIWSZY NASZĄ CHĘĆ poznania rzadko ukazywanej, prywatnej strony biografii mistrzów, warto z autorem książki udać się w drogę: do Rzymu, Paryża, Kalifornii czy na targi książki we Frankfurcie. Znakomity, odbiegający od przyjętych standardów przewodnik zaprosi nas także do Londynu, nie tylko na spotkanie z międzynarod-

wą książką, ale także z czasem jego “hippisowskiej” młodości – na koncert słynnych zespołów lat 60.: Spencer Davis Group, The Yarbuds i The Troggs. Z Londynu wybierze się z nami i Markiem Nowakowskim na Pragę, a konkretnie mówiąc na Bazar Różyckiego z okresu stanu wojennego i wreszcie do Marcówki, wioski położonej w Beskidzie Makowskim, dla redaktora naczelnego *Znaku* prywatnego raj, w którym, z dala od zgiełku krakowskiej metropolii, powstał tomik *Wiersze z Marcówki*.

Ale to nie wszystko. Jeszcze czeka na nas fascynujący opis spotkania Illga w końcu lat 70. ub. wieku z dziełem Wieniedikta Jerofiejewa *Moskwa – Pietuszki*, którego poruszające fragmenty prezentował w późniejszym okresie kilkadziesiąt razy – jak pisze – “w przeróżnych, miejscach, okolicznościach i zgromadzeniach”.

ARCYPYSZNĄ CZĘŚCIĄ KSIĄŻKI

jest rozdział *Kabaret Znak*, która zaświadcza nie tylko o wyjątkowym poczuciu humoru autora wspomnień i jego licznych kręgu przyjaciół – pisarzy, aktorów, muzyków, naukowców, znamiennych przedstawicieli kultury Polski i świata, ale także szczególnego *genius loci* Krakowa.

Tylko tutaj mogły się bowiem odbyć niezapomniane spotkania promocyjne, podczas których kabaret artystów z najwyższej półki, połączony z występami genialnych amatorów, osiągał szczyty wirtuozerii scenicznej i dowcipu, a recytacjom wierszy i czytaniu prozy towarzyszyły wspaniałe wystawy malarstwa, fotografii, rzeźby, koncerty jazzowe, a nawet zaimprovizowane popisy wspinaczki górskiej, jak to miało miejsce z okazji wydania *Gór Niewzruszonych* Jacka Woźniakowskiego. Tylko w tym mieście moż-

na było wydawać niezwykle pismo literackie *NaGłos*, najpierw w postaci “mówionej”, a następnie normalnej – papierowej. To tylko tutaj można było zorganizować wieczór kabaretowy o charakterze funeralnym (“Stałe grono autorów zbolaty mi głosami czytało epitafia przyjaciół i znanych krakowian, z których większość siedziała na zatłoczonej sali...”), przyjmowany żywiołowym śmiechem “żywych nieboszczyków”. To wreszcie tutaj można było “opublikować” w szacownej serii Biblioteki Narodowej wiekopomne dzieło Andrzeja Gołoty *Sobie a guzom*, wybór poezji ze wstępem spełniającym wszystkie warunki naukowej rozprawy, a w czasie niezapomnianego wieczoru kabaretowego zorganizowanego z okazji 40-lecia Znaku podziwiać uroczy chór rewelersów w składzie Władysław Stróżewski, Kazimierz Kutz, Henryk Woźniakowski i Bronisław Maj. Ów chór zaśpiewał i zatańczył napisany przez Bronisława Maja hymn Znaku (“Znak, tylko Znak./ w nim życia smak/ i świata urok...”). Podobno ten występ dał się porównać jedynie ze scenicznym popisem Maja w roli słynnej w Krakowie pani Loli, legendarnej postaci Domu Literatów na Krupniczej.

ZAMYKAM TOM WSPOMNIEN JERZEGO ILLGA

ze świadomością, że oddanie w recenzji całego bogactwa jego treści jest zadaniem nierealnym. Tę blisko 500-stronicową księgę każdy prawdziwy miłośnik drukowanego słowa powinien przeczytać z należytą uwagą i wracać do niej po wielekroć, by uświadomić sobie, jak wspaniałą przygodą jest życie inteligentnego, wrażliwego wydawcy i jak niezwykle inspirująca i wzbogacająca duchowo może być miłość do książek i ich twórców.

Jerzy Illg, *Mój Znak*, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 2009, s. 457 plus indeks osób oraz autorów ilustracji i zdjęć, cena 30 dol. plus 6,50 dol. porto w przypadku zamówienia z wysyłką (do nabycia w Księgarni Nowego Dziennika) tel. (212) 594-2386 e-mail: ksiazki@dziennik.com www.ksiazkionline.com

Polska w Europeanie

Od 11 grudnia 2009 r. w ramach Europejskiej Biblioteki Cyfrowej Europeana (<http://europeana.eu/>) dostępne są zasoby kilkudziesięciu polskich bibliotek cyfrowych, które skupione są w Federacji Bibliotek Cyfrowych (<http://fbc.pionier.net.pl/>) sieci PIONIER. Zasoby te obejmują ponad 250 000 obiektów cyfrowych udostępnionych przez kilkadziesiąt instytucji kultury i nauki z całej Polski. Wśród nich znajdują się zarówno cenne skarby naszego dziedzictwa narodowego, jak i ciekawe regionalia czy współczesne publikacje naukowe i edukacyjne. Zdecydowana większość publikacji dostępna jest dla wszystkich internautów bez żadnych ograniczeń.

Europeana, jedna z flagowych inicjatyw Komisji Europejskiej, to portal internetowy stanowiący punkt dostępu do cyfrowej wersji kulturowego i naukowego dzie-

dzictwa Europy. Portal ten dostępny jest od listopada 2008 roku. Z chwilą oficjalnego uruchomienia pozwalał on na dotarcie do około 2 milionów obiektów cyfrowych rozproszonych po całej Europie. W grudniu 2009 r., po przyłączeniu polskich bibliotek cyfrowych, liczba obiektów w Europeanie przekroczyła 5 milionów, z czego około 5,5% pochodzi z Polski. Wg aktualnych planów rozwoju do lipca 2010 roku Europeana ma osiągnąć poziom 10 milionów obiektów. Portal ten pełni niezwykle ważną rolę w udostępnianiu i promocji dziedzictwa kulturowego krajów europejskich i dlatego istotne jest, aby Polska była w nim odpowiednio szeroko reprezentowana.

Polskie zasoby cyfrowe dla Europeany przekazuje Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe (<http://www.man.poznan.pl/>), operator sieci PIONIER oraz Fede-

racji Bibliotek Cyfrowych.

Federacja Bibliotek Cyfrowych (FBC) integruje sieć funkcjonujących w Polsce bibliotek cyfrowych, które systematycznie powstają od 2002 roku. FBC uruchomiona została w czerwcu 2007 roku przez Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe. Obecnie daje możliwość przeszukiwania opisów ponad 315 tysięcy obiektów. Poza tym jest to również rozbudowana baza informacji o polskich bibliotekach cyfrowych, a także kluczowy element rozproszonego systemu wspierającego koordynację digitalizacji zasobów polskich bibliotek. Warto podkreślić, że miesięcznie w bibliotekach cyfrowych przyłączonych do FBC udostępniane jest około 10 tysięcy nowych obiektów. Dzięki nawiązaniu trwałego połączenia FBC z Europeaną polskie obiekty są teraz promowane na całym świecie. □

Z wydarzeń kulturalnych w Polsce

LITERATURA

W Dniu Domeny Publicznej wygasły prawa autorskie do twórczości autorów, którzy zmarli 70 lat temu. Można więc swobodnie wykorzystywać utwory ponad 250 pisarzy, w tym Józefa Czechowicza, Romana Dmowskiego, Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, Witkacego, Zygmunta Freuda i Williama Butlera Yeatsa.

Trójkowy Radiowy Dom Kultury ogłosił wyniki plebiscytu na książkę roku. Została nią *Biała gorączka* Jacka Hugo-Badera, drugie miejsce zajął zbiór reportaży poświęconych przemianom Polski w ostatnim 20-leciu pt. *20. 20 lat nowej Polski w reportażach według Mariusza Szczygła*. Wśród dziesięciu wyróżnionych książek przeważała literatura faktu (aż 7 tytułów!).

Instytut Książki

FILM

Do końca lutego w 16 miastach Polski trwać będzie Era Nowe Horyzonty Tournée – przegląd sześciu filmów z zeszłorocznego festiwalu. Najważniejszym tytułem jest bezapelacyjny zwycięzca konkursu głównego – *Głód* debutanta Steve'a McQueena. Zobaczyć można także *Tlen* Iwana Wyrpajewa, *Dubel* Johana Grimonpreza, *Las* Piotra Dumay, *Każdy myśli swoje* Henrika Hellströma i *Fredrika Wenzla* oraz *Plaże Agnes* Agnes Vardy.

Gazeta Wyborcza

W Warszawie trwa przegląd "Aktorska sztafeta pokoleń", obejmujący zestawy filmów, w których zagraли sławni rodzice i ich nie mniej słynne dzieci – jak Henry Fonda i Jane Fonda czy Tony Curtis i Jamie Lee Curtis.

W programie przeglądu są też m.in. zestawy poświęcone duetom: Klaus Kinski/Nastassia Kinski (*Nosferatu wampir* i *Tess*), Ingrid Bergman/Isabella Rosselini (*Jesienna sonata* i *Blue Velvet*), Donald Sutherland/Kiefer Sutherland (*Złoto dla zuchwałych* i *Młode strzelby*) czy Kirk Douglas/Michael Douglas (*Układ* i *Wall Street*).

MUZYKA

Premierę opery *Lunatyczka* Vincenza Belliniego przygotowała szczecińska Opera na Zamku. Zadekowała ją prof. Kazimierzowi Koźłowskiemu, historykowi i byłemu dyrektorowi Archiwum Państwowego w Szczecinie. Tradycyjnie już Opera na Zamku dedykuje pierwszą w roku premierę osobie szczególnie zasłużonej dla regionu.

Spektakl powstał w ścisłej współpracy szczecińskiej sceny z teatrem w czeskim Libercu. Reżyseruje go tamtejszy dyrektor Martin Otawa. Autorami scenografii i kostiumów są Jan Zavarsky i Dana Svobodova. Kierownictwo muzyczne nad projektem objął dyrektor Opery na Zamku Wacław

Kunc. Partię Aminy śpiewa Aleksandra Buczek. Wśród innych solistów znaleźli się Kirilant Cortes-Galvez, Joanna Tylkowska i Barbara Żarnowiecka. Orkiestrę poprowadzi Wacław Kunc.

Po przedstawieniach w Szczecinie *Lunatyczka* pojedzie do Czech, a z kolei zespół czeski wystawi w Szczecinie *Edgara* Giacomo Pucciniego.

W tym roku Opera na Zamku zamierza wystawić ponadto *Fidelia* Ludwiga van Beethovena oraz *Fairy Queen* Henry'ego Purcella.

TEATR

Nowy spektakl pt. *Paranoicy i pszczelarze* zaprezentował w Poznaniu Teatr Ósmego Dnia. Przedstawienie autorstwa Ewy Wójciak ma charakter dokumentalny, wykorzystano w nim fragmenty reportaży, tekstów prasowych oraz wypowiedzi osób publicznych.

Spektakl, inspirowany opublikowanym w *Gazecie Wyborczej* reportażem "Jestem przeciętnym Polakiem", prezentuje dwa nurty we współczesnej polskiej rzeczywistości: agresywny, narodowo-patriotyczny oraz drugi, niemedialny, tworzony przez "zwyczajnych" Polaków.

Premierę sztuki *Survival* angielskiego dramaturga Simona Blocka w reżyserii Barbary Sass przygotował łódzki Teatr Jaracza. Są w niej ukazane stosunki panujące we współczesnych mediach. Na przykładzie telewizji autor kreśli charakterystyki swoich bohaterów, pragnących niemal za każdą cenę i każdym sposobem, osiągnąć sukces. Ta bezwzględna walka o własną pozycję przekłada się na powszechny brak zaufania, zawiści, konflikty, intrygi, manipulacje.

Jak powiedziała na konferencji prasowej reżyserka, telewizja nigdy nie wydawała się jej "czystym medium", a panujące tam stosunki przypominały system feudalny.

W łódzkim przedstawieniu występują: Ewa Wiśniewska, Kamil Maćkowiak, Agnieszka Więdołcha i Dobromir Dymecki. Więdołcha i Dymecki są ubiegłorocznymi absolwentami Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi.

Nagrodę Główną Festiwalu Nowe Słuchowiska 2009, zorganizowanego przez Polskie Radio i Agencję Dramatu, jury przyznało twórcom słuchowiska *Pensjonat* Piotrowi Mańkowi (autor scenariusza) i Dariuszowi Błaszczkowi (reżyser). W werdykcie podkreślono również walory artystyczne realizacji słuchowiska *Strkne Ann* Dany Łukasińskiej w reżyserii Anny Wiczur-Bluszcz.

e-teatr

Styczeń to Miesiąc Kobiet na olsztyńskiej Scenie Margines. Wystawiane są spektakle *Jackie. Śmierć i księżniczka*, *Kobieta-bomba* oraz *Wszystko o kobietach*.

e-teatr

TANIEC

Na scenie poznańskiego Teatru Wielkiego zespół baletowy wykonał *Stworzenie świata* Josepha Haydna wg choreografii zmarłego przedwcześnie Uwe Scholza. Spektakl przygotowali jego uczniowie i współpracownicy, wieloletni tancerze baletu w Lipsku – Hiszpanka Montserrat León i Włoch Giovanni di Palma, który również zaprojektował kostiumy i projekcje zdjęciowe. Przestrzeń i światła zaaranżował Bogumił Palewicz, projekcje zrealizował Daniel Chruszcz, a kierownictwo muzyczne sprawował włoski dyrygent Filippo Maria Bressan.

Gazeta Wyborcza

WYSTAWY

W warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej do 31 stycznia będzie czynna wystawa prac amerykańskiego artysty Bruce'a Naumana. Na

ekspozycji pt. "Nie/No" znalazły się instalacje, rzeźby i prace na papierze z kolekcji Tate Londyn i Astrup Fearnley Museum Oslo. Dodatkową atrakcją jest projekcja filmu *Mapping the Studio II* (2001), hipnotycznej relacji z pracowni artysty w Nowym Meksyku.

Gazeta Wyborcza

"In Minor" to tytuł wystawy przedstawiającej cykl fotografii autorstwa Mieczysława Wielomskiego i grupy artystycznej Piktorial Team, którą można oglądać do 28 stycznia we wrocławskim Centrum Kultury Agora. Zgromadzono na niej ok. 90 zdjęć tworzonych w konwencji *modern pictorial*.

Zdjęcia podzielono na sześć bloków tematycznych, w jednym z nich są fotografie inspirowane twórczością Brunona Schulza.

Naczynia i flakony na perfumy, sakiewki, kasetki na kosztowności, ozdoby, biżuterię, szminki i pudry – te przedmioty oraz wiele innych akcesoriów toaletowych z różnych epok można oglądać w Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu.

Ekspozycje na wystawie "Zapach luksusu" pochodzą z zbiorów Katarzyny Sosenko. Trzon ekspozycji stanowią naczynia i flakony na perfumy wykonane ze szkła, kryształu, porcelany i metalu, a także ze srebra, masy perłowej i bursztynu. Licznie reprezentowane są przedmioty w stylu art deco i biedermeier.

Obraz *Diary* Izabeli Ołdak uzyskał najwięcej głosów w plebiscycie publiczności na najciekawszy obraz 39. Biennale Malarstwa Bielska Jesień 2009. Widzowie wybierali spośród 109 prac 37 artystów, które zostały zakwalifikowane do prezentacji w Galerii Bielskiej Biura Wystaw Artystycznych. Na drugim miejscu znalazła się praca Edyty Jaworskiej-Kowalskiej *Dziennik mms*.

NA PODSTAWIE SERWISU PAP I INNYCH ŹRÓDEŁ OPR. EWA KARA

W toku

Mistyfikacja to tytuł filmu fabularnego, którego bohaterem jest **Stanisław Ignacy Witkiewicz**. W postaci Witkacego wcielił się Jerzy Stuhr. Pracownika SB, który odkrywa wielką tajemnicę autora *Szewców* zagrał natomiast jego syn Maciej. W obsadzie thrillera, wyreżyserowanego przez Jacka Koprowicza, są też m.in. Ewa Błaszczuk, Wojciech Pszoniak i Karolina Gruska.

Koprowicz zrealizował obraz na podstawie własnego scenariusza, który opiera się na założeniu, że Witkacy upozorował swoje samobójstwo i żył jeszcze przez wiele lat, ukrywając tożsamość.

Zdjęcia, których autorem jest Arkadiusz Tomiak, kręcono w Krakowie, Zakopanem i Warszawie. Muzykę do filmu komponuje Włodek Pawlik. Premiera w marcu.

Krystyna Janda, Wojciech Pszoniak i Piotr Fronczewski wystąpią w filmie o **Grudniu 70** w Gdyni. Plenerowe zdjęcia do *Czarnego czwartku*, pierwszego filmu fabularnego o tragicznych wydarzeniach na Wybrzeżu w grudniu w 1970 r., rozpoczną się w połowie lutego.

Autorami scenariusza, wiernie odwzorowującego tamte wydarzenia na podstawie losów stoczniońca Brunona Drywy, który 17 grudnia zginął od strzału w plecy, oraz relacji i dokumentów, są dziennikarze Mirosław Piepka i Michał Pruski. Obaj byli świadkami wydarzeń w Gdańsku i Gdyni.

Film wyreżyseruje Antoni Krauze. Autorem zdjęć będzie Jacek Petrycki, muzykę skomponuje Michał Lorenc. Główne role zagrają: Marta Bucka-Honzatko, Marta Kalmus-Jankowska i Michał Kowalski. W epizodycznych wystąpią Wojciech Pszoniak – jako Władysław Gomułka, Piotr Fronczewski jako Zenon Kliszko i Krystyna Janda – jako anonimowa kobieta.

Premiera planowana jest na jesień 2010 r.

Powstanie film o tragicznych losach **Heleny Bembnistówny**. Obraz, który wiosną pokaże TVP, opowie o pierwszych dniach września 1939 roku, o wydarzeniach, które rozgrywały się wtedy w Bydgoszczy. W kamienicy, w której mieszkała Helena, zabił Niemca. Sąsiadka doniosła władzom okupacyjnym, że to właśnie ona wskazała jego mieszkanie. Dziewczynę aresztowano i skazano na karę śmierci. Rozstrzelano ją 23 kwietnia 1940 r.

Reżyserem i autorem scenariusza filmu jest Adam Tarnowski, a w części dokumentalnej zostaną wykorzystane materiały archiwalne, udostępnione m.in. przez Archiwum Państwowe w Bydgoszczy.

W Warszawie stanie **pomnik Tadeusza Kościuszki**. Ma on być artystyczną kopią obelisku autorstwa Antoniego Popiela, który stoi w Waszyngtonie, na skwerze La Fayette'a, naprzeciwko Białego Domu. Kopię na podstawie zdjęć i pomiarów pomnika wykonali artyści z rodziny rzeźbiarskiej Sieków. Obelisk został już odlany i jest przygotowywany do ustawienia.

Obecnie trwają prace nad przygotowaniem otoczenia pomnika, który zostanie odsłonięty 2 maja na pl. Żelaznej Bramy, naprzeciwko pałacu Lubomirskich.



Wnętrze dworku w Żelaznej Woli, w którym urodził się Fryderyk Chopin. 2010 jest na całym świecie Rokiem Fryderyka Chopina – w marcu przypada 200. rocznica urodzin wybitnego kompozytora

Fot. PAP/Paweł Kula

EWA BERBERYUSZ

Kartki ze skażonej strefy

Święta, święta i po świętach. Po sylwestrach, po Nowym Roku... Wracamy do szarej codzienności. To lubię!

Po kilku dniach świątecznej przerwy mąż rano wrócił z kiosku obładowany gazetami. Przejrzał je i skonstatował, że nic ciekawego. Zdenerwowałam się: – To po to wydałeś kupę pieniędzy, przecież to wszystko masz za darmo w internecie.

Popatrzył na mnie jak na idiotkę: – Jak to? Poranna kawa w wygodnym fotelu bez gazety? Bez tego kontaktu z żywym papierem? Tego ledwo wyczuwalnego zapachu farby drukarskiej? Tak po prostu przed zimnym, bezosobowym, szklanym ekranem? I jakie to niezdrowe dla kręgosłupa...

Cóż, oboje jesteśmy z innej epoki. Wychodzi to wyraźnie w zderzeniu codzienności ze wspomnieniami. Kto dziś zna uroki kręcenia maku na makowiec, kiedy gotową już masę kupuje się w każdym osiedlowym sklepiku? Kto dziś poświęci kilka wieczorów, by starannie zadresować okolicznościowe kartki ze żłóbkiem i Maryją, kiedy świąteczne życzenia załatwia się naciśnięciem jednego guzika w komórkowym telefonie? Wnuczek do dziadka: – Dziadku, opowiedz, jak do dawniej było.

– Było inaczej: mieszkaliśmy w drewnianej chałupie, obok była obora, komórka na węgiel...

– No dziadku, z tą komórką to już przesażdziłeś. Komórka to przecież telefon...

INNA EPOKA, INNY JĘZYK. Coraz trudniejsze porozumienie z tymi już z nowej epoki. Wnuczka nie siądzie już rano w miękkim fotelu z lemoniadą w jednej i gazetą w drugiej ręce. Podejdzie do metalowego pudełka i naciśnie guzik z napisem *Power*.

Rozwodzę się nad tą zmianą, żeby wykazać, że dzieli nas od wnuków nie – jak się to dawniej mówiło – walka pokoleń, ale technika. Zwykła technika. Piszę te kartki "microsoftem", ale inne funkcje mojego komputera są mi obce. Jak chcę się nimi posłużyć, pytam ośmioletnią wnuczkę.

W POLSCE CISZA PRZED BURZĄ. Czyli przed kampanią prezydencką. Pojawili się kandydaci: obok zupełnych wariatów – jak to zawsze – poważniejsi. Wreszcie zdecydował się Andrzej Olechowski. A z lewicy – trochę już wyleniwały politycznie Jerzy Szmajdziński.

No i oczywiście Donald Tusk, szef Platformy Obywatelskiej.

Nieprawda! Nie zgłosił się. Na razie milczy. Zaczął powtarzać, że najlepiej czuje się w roli, jaką sprawuje. Nie mam nic przeciwko temu. Niechże zostanie premierem, a na przykład, prezydentem – Włodzimierz Cimoszewicz. Niech ten leśny człowiek wychynie ze swojej pustelni na Podlasiu, niech się odważy. Mogłoby się to stać jedynie w porozumieniu z Platformą. Niech się więc też odważy Platforma, żeby na niego głosować. Gdyby Tusk go poparł, poparłaby go cała partia bez szemrania. Chociaż platformiacy to sami indywidualiści – posłuchaliby szefa. (Karygodny błąd, że Platforma nie związała się z SLD wcześniej w jakiejś formie!).

Tusk na razie milczy, ale wieść głosi, że stanowczo bardziej niż prezydentura pociąga go premierowanie. I mnie też! Niech on premieruje! Rządzenie daje mu pole do działania. Tu trzeba może przypomnieć, że prezydent w Polsce – odwrotnie niż w USA – pełni głównie funkcje reprezentacyjne. Co prawda, może brzdącić, wetując ustawy, w czym lubuje się obecny nasz Lech Kaczyński...

TANDEM CIMOSZEWICZ-TUSK zbliżyłyby prawdopodobnie Platformę z SLD, tym światłym SLD, żeby wymienić takich, jak Ryszard Kalisz czy choćby Aleksander Kwaśniewski. Jeszcze nic nie straconego.

Gdyby więc ten idealny, moim zdaniem, układ doszedł do skutku, bracia Kaczyńscy zostaliby zmieceni ze sceny politycznej. Chociaż trudno mi sobie to wyobrazić. Rozrabiacka władza leży w ich naturze (zwłaszcza Jarosława) – bez niej by uschli. Pamiętam, jak przed laty, kiedy jeszcze na dobre nie ukształtował się Sejm tzw. kontraktowy – już zaczęli rozrabić.

Byłam wtedy sprawozdawcą sejmowym z ramienia *Tygodnika Powszechnego* i nie mogłam pojąć, o co im chodzi. Teraz wiem, chodziło o władzę. Nie dostali jej. Premier Tadeusz Mazowiecki wybrał sobie innych.

Przy nadchodzącym nowym rozdaniu kart nie wyobrażam sobie, żeby odeszli bez walki. Nadzieja w tym, że całe ich pisowskie rządy – chociaż przy świetnej na świecie passie gospodarczej – źle zapisały się w oczach ludzi, którzy mieli odrobinę oleju w głowie.

– zauważa rozmawiająca z nim dziennikarka. – Nie. Po prostu mówię, co ja zrobię.

W ŚWIĘTA W PROGRAMIE TVN był odcinek serialu fabularno-dokumentalnego o tym, jak "naprawdę" zginął generał Władysław Sikorski. A więc – krótko mówiąc – nie w katastrofie liberatora na Gibraltarze, ale wraz z córką i całą swoją ekipą został uprzednio zabity przez przeciwników politycznych; następnie ciała zostały umieszczone w samolocie pod osłoną nocy.

Teraz trzeba było tylko wystartować i po chwili – doprowadzić do katastrofy. Wtajemniczony w zamach musiał być oczywiście pilot. Był nim Czech Edward Prchal. On jeden ocalał. I do końca życia (zmarł w 1984 r.) podtrzymywał wersję o zablokowaniu się sterów.

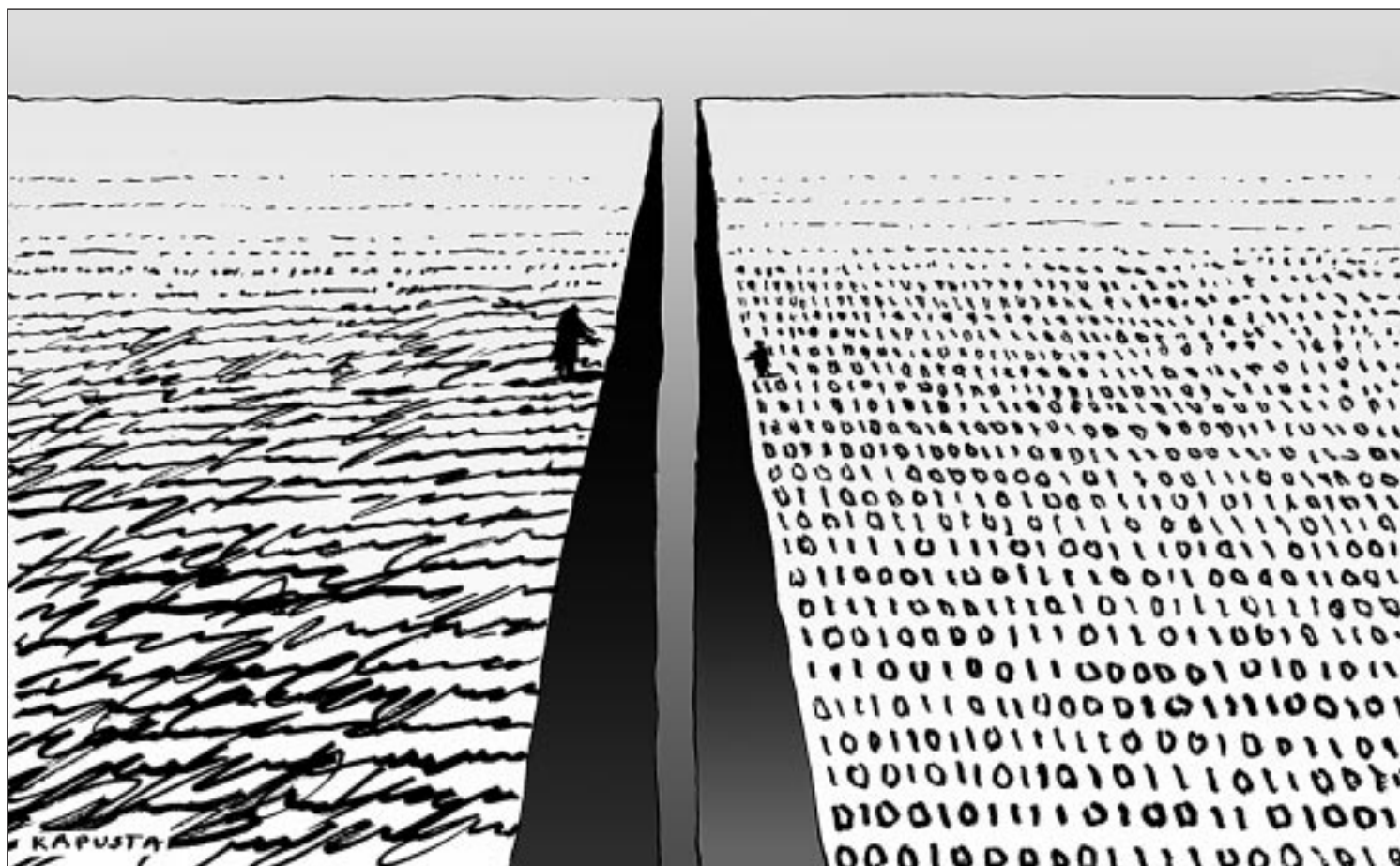
Opowiadał mi Ludwik Łubieński, zwany Lulu, przed wojną pracownik w biurze ministra Józefa Becka, że widział całą "scenę" od początku do końca. Załoga polska na Gibraltarze stała salutując: start, następnie przerażenie, chaotyczne wyławianie ciał. Niestety, martwych. Jedynie pilot Prchal żył.

sji, budzi moje wątpliwości.

Jednakże, gdy usłyszałam argument ministra Klicha (który, nawiasem mówiąc, stale tam jeździ), że przecież taka wojna to doskonałe szkolenie, bo prawdziwe, rozjaśnił mi w głowie. Bo coż znaczy żołnierz w imponującym rynsztunku, który nie zaznał wojny?

KTO UKRADEŁ NAPIS ZNAD BRAMY OBOZU Auschwitz "Arbeit macht frei"? To pytanie nie zaprzętało umysłów Polaków dłużej niż dwa dni. Bo po tym czasie go znaleziono. W Polsce wielu ludzi, przeważnie alkoholików, żyje ze sprzedaży złomu. Jednakże fakt, jak kiepsko taki obiekt jest strzeżony, budzi oburzenie.

SPRAWA SENATORA KRZYSZTOFA PIESIEWICZA jest bardzo smutna. Wydawał się jednym z najszlachetniejszych ludzi. Był autorem scenariuszy do *Dekalogu* Krzysztofa Kieślowskiego, serii filmów, które obiegły świat. Nie dziwię się, że przedwcześnie zmarły Kieślowski wybrał właśnie jego, adwokata, nie filmowca.



Grafika – Janusz Kapusta

Mimo to Kaczyńscy mieli i – obawiam się – mają zwolenników. Polacy są jednorodni etnicznie, ale bynajmniej nie światopoglądowo. Wielkie masy narodu nie przepadają za inteligencją. Skąd ten wstręt? Sądzę, że niemało namieszała tu w głowach komuna. Nieufność wobec ludzi mądrych. Obraz przywódców-gnomów, którzy albo złorzeczą, albo notorycznie przekręcają nazwiska, którzy zachowaniem pokazują, że są prości i bez oglądy, stanowczo bardziej wielu odpowiada. Muszą przeminąć pokolenia, żeby demokrację w każdym calu wprowadzić do ludzkich łbów.

Kto przeżyje – zobaczy. Żle by mi się spało, nawet w grobie, gdyby pisowcy mieli powtórnie rządzić.

Prof. Władysław Bartoszewski, największy w Polsce autorytet, zbliżający się do dziewięćdziesiątki, fenomen, który w tym wieku nie stracił nic z inteligencji i pamięci, deklaruje, że gdyby dziś miał pójść do urny, to spośród obecnych kandydatów zdecydowanie oddałby głos na Tuska.

– A więc zaczyna pan kampanię wyborczą

– "Pamiętam – mówił mi Lulu w Londynie – jak wydobywałem go [Prchala] z kamizelki rantunkowej". Niedośły denat zaprzeczał: "Nigdy w życiu nie zakładałem kamizelki...".

Brzydzą się teorią spiskową, dlatego opowiadają się za oficjalną wersją, czyli za katastrofą. Liberatory nie były najwyższej jakości; lekkomyślnie przeciążane – taka była potrzeba chwili – nie były bezpieczne.

A już zupełnie nie przemawia mi do rozumu, że "sprzątnięcie" Sikorskiego było dziełem premiera Churchilla. Po co? Sikorski był w tej wojnie płotką, po cóż więc miano by się w ogniu wojny porywać na niego?!

Polacy jednak lubią spiski; są jak dobre kryminały. Dlatego też Operacja Mur, jak nazwano zamach na generała Sikorskiego, może przemawiać do ludzkiej wyobraźni.

WCIAŻ WYSYŁAMY WOJSKA DO AFGANISTANU, wciąż z honorami przyjmujemy trumny poległych. Ludzie pytają: po cholere nam ten Afganistan? Nasza przynależność do NATO, a więc obowiązek uczestnictwa w tej mi-

A potem, gdy jako senator Krzysztof Piesiewicz przemawiał – słuchałam. Bo zawsze były to słowa mądre, trafiające do sumienia i logiczne. I naraz!

Brukowiec pokazuje w kolorze jego zdjęcie w pozycji leżącej, ubranego w sukienkę i wciągającego coś białego nosem.

Ostatnia rzecz, jakiej mogłabym się po nim spodziewać.

I to, że odpowiedział na szantaż: (zapłacił dużą sumę). Gdy przestępczyni domagały się więcej, odmówił. Zdjęcie zostało opublikowane w brukowcu.

Nie wygląda to na rzecz dokonaną przez prostytutkę: prostytutka bierze zapłatę i znika. Szantaż obróciłby się przeciwko niej prędzej czy później. Więc kto? Piesiewicz zniknął z Senatu, z mediów i z życia publicznego.

CAŁA POLSKA GRZMI O PARYTECIE: ma być równo – tyle kobiet, co mężczyzn – w rządzie, parlamencie, w administracji, na kolei, w handlu, w literaturze... Co za bzdura! Lepszy zwycięża. Płeć nie ma tu nic do rzeczy. □

BOGUMIŁA ŻONGOŁŁOWICZ

Jego były “Czerwone maki...”

W Australii zmarł Gwidon Borucki (1912-2009), pierwszy wykonawca “Czerwonych maków na Monte Cassino”.

Zołnierz armii generała Władysława Andersa, muzyk, piosenkarz i aktor “odszedł w ślad za swymi licznymi towarzyszami broni i wiernymi słuchaczami”, jak napisał Andrzej Jaroszyński, ambasador RP w Australii w liście kondolencyjnym do wdowy. “Jego długie życie było wyrazem najszlachetniejszej wartości polskiego etosu: służbie Ojczyźnie, wierności ideałom wolnej Polski, krzewieniu sztuki ku pokrzepieniu serc tysiącom polskich żołnierzy w latach wojny i tysiącom tułaczy, którzy – tak jak On – wybrali walkę o wolną Polskę na obczyźnie”.

Odszedł ostatniego dnia 2009 roku. Nie doczekał 98. urodzin. Śmierć przyszła nagle i zaskoczyła wielu, jako że artysta występował przed werną publicznością niemal do końca. I niemal za każdym razem kończył swój występ *Czerwonymi makami*, których był pierwszym wykonawcą.

URODZIŁ SIĘ W KRAKOWIE 2 WRZEŚNIA 1912 ROKU, a wychował w Przemyślu, skąd pochodziła cała jego rodzina. Był najstarszym z trzech synów Maurycego i Czarnej z Kömerów Gottlieb. W Przemyślu brał lekcje śpiewu i gry na fortepianie, tu kupił sobie pierwszy akordeon.

W 1932 roku podjął studia w Wyższej Szkole Handlu Zagranicznego we Lwowie. Na utrzymanie zarabiał śpiewając w popularnym lokalu rozrywkowym “Cyganeria” w Hotelu Krakowskim.

Dość szybko jednak pracą artystyczną związał się z Warszawą. W 1936 roku został zatrudniony w Café Club, mieszczącym się u zbiegu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata, gdzie grała orkiestra Witkowskiego. Występował jako refrenista i artysta kabaretowy. Nagrywał dla Polskiego Radia. Po jednym z występów podszedł do niego Kazimierz Krukowski. Przyszedł w towarzystwie słowika Warszawy – Zofii Terné i ówczesnego dyrektora teatru Cyrułik Warszawski – Fryderyka Jarosy’ego, który zaproponował Gwidonowi pracę.

Z Cyrułikiem Gwidon Borucki był związany do wiosny 1939 roku. Występował w programach rewiowych i przedstawieniach, między innymi w komedii muzycznej Alfreda Longina Schütza *Romans z urzędem skarbowym*, w którym wystąpił obok Jadwigi Andrzejewskiej i Eugeniusza Bodo. Poznał wtedy takie sławy, jak Jerzy Jurandot, Marian Hemar i Ludwik Sempoliński – od tego ostatniego wiele się nauczył. Śpiewał w duecie z Zofią Terné, Leną Żelichowską i Heleną Kitajewicz.

Latem 1939 roku, podczas objazdowych występów, którymi Cyrułik Warszawski kończył swoje istnienie, w Zakopanem, poznał pięk-



W Australii Gwidon Borucki często był proszony o wykonanie najstynniejszej polskiej pieśni z okresu II wojny światowej – nigdy nie odmawiał, nawet w późnym wieku

ną dziewczynę, która w rok później została jego żoną. Jako że na wrzesień zaplanowana została premiera nowego teatru Jarosy’ego Figaro, wrócił do Warszawy. Do premiery już jednak nie doszło.

KIEDY WYBUCHŁA WOJNA, po wielu perypetiach przedostał się do Lwowa, gdzie zaczęli ściągać także inni artyści. Znalazło się dla niego miejsce w zespole Henryka Warsa. Konferansjerem był Bodo, a na śpiewaczkę przyjęto... znajomą z Zakopanego. Wymyślono dla niej sceniczny pseudonim – Renata Bogdańska. W Kijowie, podczas objazdu Rosji, baba w chuście na głowie za trzy ruble udzieliła im ślubu...

Na Uralu dowiedzieli się o wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej. Podczas pobytu w Taszkencie zespół zaczął się rozpadać. Kiedy nadjechał teatr Ref-Rena, należący do kolei, przenieśli się z żoną do niego. Sypialnym wagonem, doczepianym do różnych pociągów, przemierzali się z miejsca na miejsce. Zimą 1941 roku dotarli do Czkałowa, gdzie dowiedzieli się, że tworzy się armia Andersa. Wkrótce zostali wciągnięci w jej szeregi.

W Tocku przyłączono ich do 10. Dywizji Piechoty. W kwietniu 1942 roku wylądowali w Persji. Po drodze grali w Palestynie, Egipcie i Iraku. Pod koniec 1943 roku z Aleksandrii popłynęli “Batorym” do Włoch już jako 2. Korpus Polski 8. Armii Brytyjskiej. Z miasteczka Campobasso, gdzie zakwaterowano ich wojskowy teatr Polska Parada, docierali do żołnierzy w okopach i lazaretach.

PO BITWIE POD MONTE CASSINO dowódca wydał rozkaz, aby przygotować przedstawienie dla oddziału, który zatknął polską flagę na gruzach klasztoru. Ref-Ren siadł do maszyny i wystukał słowa. Alfred Schütz ułożył melodię.

“Zbudzili mnie w środku nocy, abym nauczył się nowej piosenki – wspominał Gwidon Borucki. – Nie pogrzebano jeszcze wszystkich po-

mi ktoś wtedy powiedział, że stanie się tym, czym się stała: hymnem zwycięstwa” – wspominał Borucki.

TO ZWYCIĘSTWO ŚWIĘTOWAŁ WRAZ Z INNYMI W FERMO, a po zakończeniu wojny zamieszkał w Londynie, dokąd ściągnął go jeden z jego młodszych braci. Pracował w BBC. Tu, w radiu BBC, pracowała dziewczyna, którą wcześniej spotkał w północnych Niemczech i z którą przypadli sobie do gustu. Teraz przypomniał sobie o niej...

Wcześniej rozstał się z Renatą Bogdańską, która w 1948 roku wyszła za generała Andersa i która w rok później wręczyła Ewie Boruckiej bransoletę, którą dostała od Gwidona w Palestynie. “To był prezent od Gidka dla żony – powiedziała – a więc powinna należeć do ciebie”. Pozostali w przyjaźni przez resztę życia.

Koniec wojny nie oznaczał zakończenia pracy artystycznej Gwidona Boruckiego. Dopiero wówczas rozpoczęła się jego prawdziwa kariera.

ZAGRAŁ W PONAD CZTERDZIEŚTU FILMACH sensacyjnych, wojennych i komediowych, między innymi w *Hotelu Sahara* z Ivone de Carlo i Peterem Ustinovem, *State Secret* z Douglasem Fairbanksem oraz *Colditz Story* z Johnem Millem i Christopherem Rhodesem. Wystąpił w rolach kupiera w kasynie w Monte Carlo, węgierskiego farmera, pilota, polskiego uchodźcy politycznego, holenderskiego biznesmena, belgijskiego marynarza, włoskiego policjanta, właściciela kafejki, zarządcy hotelu, rosyjskiego księcia, enkawudzisty, kelnera i właściciela sklepu z sukniami...

Wystąpił w wielu operetkach i komediach muzycznych. Szczytem je-

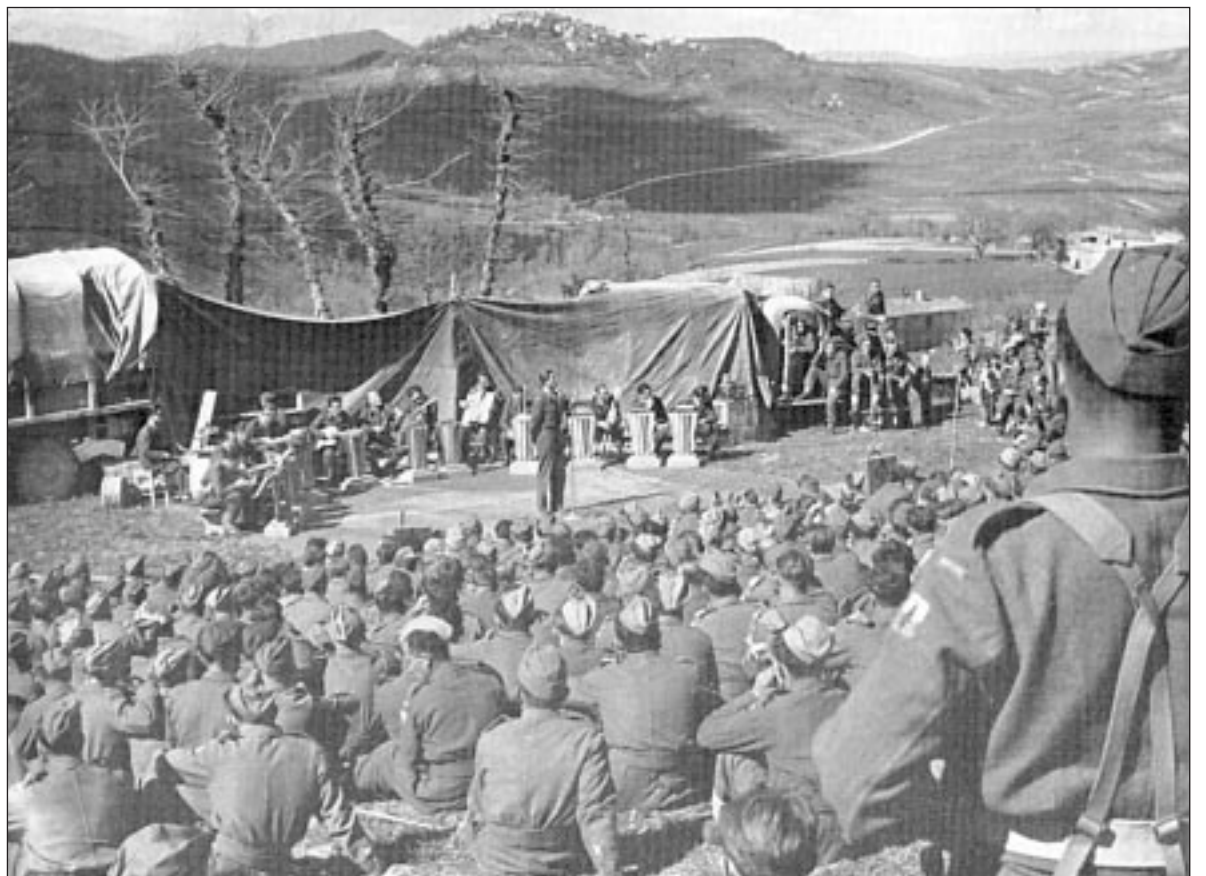
go kariery była główna rola w komedii muzycznej *Grab Me a Gondola* Jamesa Gilberta i Juliana More’a. Spektakl ten szedł w Londynie na West Endzie przez dwa lata.

W 1959 roku Gwidon Borucki został zaproszony do odegrania głównej roli w *Grab Me a Gondola* w Australii. Włoskiego księcia grał w Melbourne przez rok. W tym samym czasie podjął pracę w telewizji. Prowadził na kanale 7 swój program “Tea for Two”.

KILKA MIESIĘCY POBYTU W AUSTRALII wystarczyło mu, aby zdecydować się osiąść tu na stałe. Ściągnął z Anglii żonę. W jakiś czas potem zakończył karierę artystyczną, aby zostać właścicielem agencji nieruchomości G. Lorraine & Co. Nie odsunął się jednak od środowiska polskiego w Melbourne. Przez 12 lat pełnił funkcję prezesa Polskiego Koła Kulturalnego. Organizował i wystawiał rewie i kabarety, w których sam brał udział. Były to między innymi: *Dziura w moście* (1962), *Wolne żarty* (1963), *Mąż Foltasiówny* (1964).

Działał nieprzerwanie, do końca występując w domach opieki społecznej, klubach seniora, na uroczystościach prywatnych.

Za kilkudziesięcioletnią działalność artystyczną na emigracji Gwidon Borucki (pseudonim sceniczny Guido Lorrain) otrzymał wysokie odznaczenia od rządu polskiego w Londynie i od władz wolnej Rzeczypospolitej. Ostatnim wzruszającym wyróżnieniem był Złoty Liść Retro 2009 przyznany mu przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego za całokształt działalności propagującej twórczość 20-lecia międzywojennego poza granicami Polski. □



Gwidon Borucki śpiewa Czerwone maki na Monte Cassino dla żołnierzy 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Cervano nad rzeką Predapio. Zdjęcie z albumu J.L. Englerta i K. Barbarckiego *Generał Anders*, London 1981, s. 80

KRZYSZTOF T. DĄBROWSKI

Odbicia

To tak wygląda śmierć – pomyślałem – jak w jakimś matryksie.

Unosiłem się i jednocześnie bardzo powoli obracałem. To wszystko musiało się dziać w błyskawicznym tempie, ale odbierałem to tak, jak film puszczonego na zepsutym projektorze.

Wznosiłem się i wirowałem – zupełnie jakby mnie coś z ogromną siłą uderzyło. Najdziwniejsze było to, że nie widziałem rąk, nóg ani reszty ciała... jakbym go nie miał. Czułem się trochę jak duchowy bączek zakręcony przez psotne astralne dziecko.

Rozśmieszyło mnie to pokręcone skojarzenie. Śmiałem się, choć powinienem panikować, krzyczeć. Ale nie, ja się śmiałem! Jeśli tak wygląda śmierć, to zapowiada się to wszystko bardzo ciekawie.

I tylko jednego nie mogłem pojąć – skoro nie widzę swego ciała, to czemu wszyscy biegną w moim kierunku? Czemu wszyscy się we mnie wpatrują?

Chwilę później zniknęli mi z oczu – teraz widziałem tylko stary, pokryty łuszczącą się farbą sufit.

Unosiłem się, początkowo szybko, a później coraz wolniej i wolniej. Przystałem się też obracać – zupełnie jakby Bóg chciał mi powiedzieć: “Stop, kolego! Na ciebie jeszcze za wcześnie. Wracaj!”.

Czytałem w różnych książkach o doświadczeniach ludzi, którzy przeżyli własną śmierć – zawsze był tunel, oślepiająca światłość, obecność dobrotliwej istoty, film z całego życia i tak dalej, i tak dalej; ja tymczasem doświadczyłem “światłości” jarzeniówki, dobrotliwa istota nie zaszczyciła mnie choćby odrobiną uwagi, a o filmie mogłem już chyba tylko pomarzyć (zdaje się, że nie kupiłem astralnego biletu...).

Ech, to wznoszenie się było takie przyjemne. Czułem się wolny i lekki.

Zacząłem spadać, coraz szybciej i szybciej. Słyszałem szum powietrza. Sufit oddalał się w ekspresowym tempie. Za chwilę z impetem wpadnę w swoje ciało i poczuję ból – na sto procent!

Może to serce? Może było za słabe? Jakaś wada, o której ani ja, ani lekarze nie wiedzieli? Mogłem też mieć wypadek. Dziwne to wszystko. Cokolwiek mi się przytrafiło, straciłem świadomość tego, gdzie jestem, co przed chwilą robiłem i kim jestem – taka duchowa amnezja.

Nagle łup! Coś mnie uderzyło. Świat się rozmył. Pędziłem gdzieś w zawrotnym tempie, by po chwili uderzyć w coś twardego. Odbiłem się od tego czegoś. Może to była jakaś inna dusza, z którą się zderzyłem? Czy z duszami jest tak, jak z magnesami i ich odpychającymi się polami? Nie, niemożliwe, wtedy to odbicie byłoby zapewne dużo łagodniejsze, takie miękkie, a ja przecież solidnie przywaliłem – ot, jak materia z materia...

A jeśli na skutek pierwszego uderzenia mam teraz takie dziwne odczucia? Nie da się wykluczyć tego, że mogę być w swoim ciele, tyle tylko, że coś mi się w głowie poprzestawiało? To się przecież zdarza – nieraz słyszałem o takich sytuacjach.

Na budowie w Stanach Zjednoczonych facetowi spadła na łeb ciężka metalowa rura. Potem twierdził, że nie ma ciała. Ktoś inny, na skutek wylewu, doznał na tyle poważnego uszkodzenia mózgu, że potem do końca życia wydawało mu się, że jego lewa ręka nie należy do niego, lecz do kogoś obcego. Gorzej – zupełnie nad nią nie panował. Często zdarzało się, że własnoręcznie fundował sobie całkiem pokaźną sliwkę pod okiem.



Ilustracja – Aleksandra Cieślak-Carey

Krzysztof T. Dąbrowski (ur. w Krakowie w 1978 r.) ukończył reżyserię, lecz jak wielu innych absolwentów tego kierunku reżyserem nie został.

W październiku 2008 r. za opowiadanie Piętno otrzymał wyróżnienie w konkursie "W kręgu sensacji" zorganizowanym przez portalkryminalny.pl.

Opowiadanie Naśmierciny (Deathbirth w tłumaczeniu Moniki Olasek) zostało opublikowane przez amerykański portal literacki Barbetlysnopes.com i w listopadzie 2008 r. wygrało konkurs na opowiadanie miesiąca.

W maju 2008 r. zadebiutował zbiorem opowiadań Naśmierciny wydanym przez wydawnictwo Armoryka w formie audiobooka. W październiku 2008 r. ukazało się książkowe wydanie Naśmierciny (poszerzone o kilka nowych opowiadań).

JANUSZ PLEWNIAK

Nie muszę jechać do Honolulu

Kiedy byłem dzieckiem, dość często zdarzało mi się słyszeć powiedzenie (po śląsku) “do Honolulu i nazod”, czyli do Honolulu i z powrotem. Była to przysłowiowa odpowiedź, której sens trzeba by przetłumaczyć na – do rajy i z powrotem. Raj, czyli Paradis, to było przecież coś w tym ziemskim życiu nieosiągalne, a Honolulu? To był taki raj na ziemi. Dla szaraczków też tylko marzenie. Pojechać do Honolulu, hm, czyli wygrać los na loterii, wybrać się na urlop za góry, za lasy, za rzeki. Tam, gdzie jeszcze nikt z bliższych nie był. A potem wrócić i opowiedzieć. Ot, raz się było paniskiem. Przy czym Honolulu to był taki symbol i tyle, a nie jakieś konkretne miejsce na ziemi. To było marzenie. Z takich, o których nawet marzyć nie trzeba, bo przecież są niespełnialne. A zatem zawsze można było odpowiedzieć na pytanie: “A ty, gdzie ty się na urlop wybierasz?”. “Do Honolulu i z powrotem”. Po takiej odpo-

wiedzi było wiadomo, że pytany chętnie by gdzieś na wakacje pojechał, ale albo nie ma urlopu, albo pieniędzy, albo zatrzymują go całkiem przyziemne sprawy... ale ma marzenia. Kiedyś się przecież karta odwróci. I wówczas pojedzie. Rzecz jasna, do Honolulu i z powrotem. Być może istniało takie miejsce, tylko gdzie? Niektórzy wyjeżdżali do Niemiec. Słyszało się o takich, co wyjechali do Ameryki. Krewni jednych i drugich dostawali potem paczki. Przynajmniej na początku były to wielkie paczki. A zatem co mogło czekać po wyjeździe do Honolulu?

Słowo-klucz. Przez wiele lat tak też go, jak wielu innych z mego śląskiego otoczenia, rozumiałem. Nigdy nie zdarzyło się, by ktokolwiek pojechał do Honolulu. A jeżeli, to nie wrócił. Bo o czymś takim to by się gadało. To by była nie lada sensacja. Chociaż nikt tak na dobrą sprawę nie wiedział, czy Honolulu to jest kraj, miasto, czy może oddział w rajy, to każdy, chociażby od-

matki słyszał nieraz to słowo-zakłęcie.

Dopiero w bardzo już odległym od dzieciństwa, dorosłym życiu, zupełnie przypadkowo w jakimś ilustrowanym magazynie zetknąłem się ponownie z tą nazwą. Jak to? To Honolulu faktycznie istnieje? Tak normalnie, jak Bukowina, Katowice czy Kraków? No dobrze, sprawdziłem. Stolica Hawajów. Prawie raj na ziemi? Miejsce, gdzie młode dziewczęta witają przybyszów zalotnymi pieśniami i zarzucają na szyje gości wianki kwiatów. Gdzie wspólne zabawy i tańce trwają całą noc do rana.

Może nie całkiem tak było, ale w głębokich pofałdowaniach mózgu w jedno zlały się opowieści z dzieciństwa, przesadzony turystyczno-reklamowy styl gazetowego sprawozdania i notatka z encyklopedii. Internetu jeszcze nie było.

Już po wyjeździe z Polski, mając paszport, z którym mogłem poruszać się po całym prawie świecie, pokusiło mnie – ot, tak tylko, na zasadzie, jak

Całkiem prawdopodobne, że nadal żyję, jestem w swoim ciele, mam ręce, nogi, i tylko na skutek uszkodzenia mózgu przestałem sam siebie postrzegać. No bo jak to inaczej wytłumaczyć – to, że poczułem zderzenie i poprzedzające je uderzenie tak... tak materialnie?

Przekręciło mnie pod takim kątem, że ujrzałem wielu ludzi. Stali. Patrzyli się gdzieś w milczeniu.

A jeśli to jest zamach terrorystyczny albo wybuch gazu? Może tam płoną ludzie i miotają się na oślep wpadając na siebie? Może konają leżąc na podłodze w powiększających się kałużach krwi?

Boże! A jeśli ja znajduję się wewnątrz urwanej głowy? To by wszystko tłumaczyło!

Nie wiedzieć czemu cała sytuacja skojarzyła mi się z animowanymi wstawkami Monty Pythona – zaraz pewnie pojawi się gigantyczna stopa, która kopnie moją głowę poza kadr...

W dawnych czasach – gdy publicznie ścinano głowy, a podniecona gawiedź traktowała egzekucję jak widowisko – wielokrotnie zdarzało się, że ucięta głowa żyła jeszcze przez kilka, kilkanaście sekund. Ścięci próbowali mówić otwierając raz po raz milczące usta. Mrugali z niedowierzaniem nie potrafiąc zrozumieć, co się z nimi dzieje – dlaczego wciąż żyją?

Żyli tylko dlatego, że mózg zużywał resztki dostarczonego z krwią tlenu. Niewykluczone, że to samo dzieje się teraz ze mną. Pewnie lada moment zobaczę, jak wygląda prawdziwa śmierć. Poznam odpowiedź na zadawane od wieków pytanie: co jest potem?

Zdjęła mnie trwoga przed nieznanym. Naraz zacząłem rozpaczliwie analizować całe swoje życie próbując dojść do tego, czy byłem dobrym człowiekiem, czy raczej nie.

Nagle zacząłem spadać z zawrotną prędkością. Wszystko się rozmazało. W coś uderzyłem (podłoga?). Odbiłem się. Wszystko wirowało. Znowu w coś uderzyłem i znowu się odbiłem. Za każdym razem wznoszenie po odbiciu było coraz słabsze.

Brak tlenu – pomyślałem. Mam halucynacje, to koniec!

Gdy przestałem się odbijać, doznałem takiego odczucia, jakbym się toczył. Jakieś smugi światła, rozbłyśki. Wirująca coraz wolniej rzeczywistość – no haluny normalnie jak ta lala!

O dziwo, zatrzymałem się. Po chwili znowu zacząłem rozróżniać detale.

Nogi. Parkiet. W oddali – jakieś zbiegowisko. Podbiegł tam mężczyzna ubrany na biało. Tłum zaczął się rozstępować. Ktoś kogoś reanimował. Krzyki. Płacz. Coraz większe zbiegowisko.

Usłyszałem za sobą głos:

– Zanieś piłkę do szatni.

Poczułem, jak obejmują mnie czyjeś ręce. Zostałem uniesiony. Ujrzałem też kogo reanimują: MNIE!

O rany! Jestem piłką do koszykówki!

Przypomniało mi się, jak przedwcześniej zaczęła mnie Cyganka. Chciała powróżyć. Odepchnąłem ją. Upadła na trawnik. Spojrzała mi głęboko w oczy i podnosząc się zaczęła coś mamrotać w tym ich dziwnym języku. Pomyślałem, że pewnie jest niespełna rozumu. Teraz wiem, że to była kłątwa.

Skoro w każdym z nas jest tchnienie Boga, to krzywdząc ją, jakbym Boga skrzywdził.

Jej słowa były tak naprawdę słowami Boga – była w nich moc.

A ja, głupi, myślałem, że Bóg jest miłosierny... □

by to było – sprawdzić w biurze podróży ewentualność wyjazdu do Honolulu. Na urlop, na wycieczkę. Okazało się, że rzecz jest normalnie dostępna, całkowicie skomercjalizowana. Nic takiego, zabukować, zapłacić, polecieć. A gdzie marzenia? Marzenia pozostały. Na razie taka wyprawa ciut przerastała mnie finansowo, przecież nie polecałbym sam. A mimo wszystko cena była realna do przeskoczenia, no może nie tego lata, bo przecież są pewne priorytety, ale w nieodległej przyszłości. I wcale już nie szło o to, jak będziemy witać, co będziemy oglądali, jak będziemy mieszkali i czy będzie pogoda na plaży. Szło wyłącznie o podróż “do Honolulu i z powrotem”. Być, wysłać pocztówki krewnym i znajomym i wrócić. Przede wszystkim po powrocie zobaczyć trudne do wyobrażenia szczęście mamy. Powiedzieć: “Mama, byliśmy w Honolulu i som my nazod”. Usłyszeć: “Moje dzieci były w Honolulu!”. Toż takie nieprawdopodobne zdarzenie w kręgu wszystkich bliskich mamie osób graniczyłoby z cudem. A w życiu, jak to w życiu. Zawsze były sprawy ważniejsze, niż przepłacona wycieczka na Hawaje. Toteż wyjazd na plażę Waikiki był z

roku na rok odsuwany. A potem mama umarła. I już nie musiałem lecieć tak daleko. Honolulu pozostało symbolem. Już nieco innym symbolem.

Przypomniało mi się to wszystko w dniach, gdy odwiedzaliśmy groby we Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny. Obie mamy – moja i Ani – są pochowane na tym samym cmentarzu. A przecież to od mamy najczęściej słyszałem o Honolulu. I jeszcze jedno: gdy w Ameryce w 2008 r. wybierali prezydenta, w wiadomościach telewizyjnych podawali zwycięzców kandydatów. Amerykanie wybrali Baracka Obamę. Przy okazji dowiedziałem się, że Obama urodził się nie gdzie indziej, a właśnie w Honolulu. Pomyślałem sobie, ot, żywy, prawdziwy, normalny człowiek urodzony w Honolulu. A ja przez tyle lat życia zupełnie nie wiedziałem, że takie ziemskie Honolulu naprawdę istnieje. Zaś Ania dodała: “Można sądzić, że taki Barack Obama też nie wie o istnieniu Bukowiny”.

Sprawdziłem, tym razem w internecie. Lot z Europy tam i z powrotem, ze wszystkimi opłatami to 940 euro, a polecane hotele już od 26 euro. Czyli można by... Tylko po co? Ja już nie muszę jechać do Honolulu, przynajmniej w tym życiu. □

MUZYKA | ROMAN MARKOWICZ

Nowojorska kronika

Witam Czytelników w Nowym Roku 2010 i życzę wielu okazji do przeżycia wspaniałych wrażeń muzycznych!

Grudzień w Nowym Jorku jest corocznie przede wszystkim miesiącem tradycyjnych kompozycji lub imprez. Są nimi oczywiście oratorium Händla *Mesjasz*, komplet *Koncertów brandenburskich* Bacha i wreszcie koncerty New York String Orchestra w Carnegie Hall. Te ostatnie są mi szczególnie bliskie i może od nich właśnie rozpocznę swoje pierwsze omówienie w tym roku.

Bożonarodzeniowe studenckie koncerty w Carnegie Hall zainicjowane zostały przez znanego skrzypka i po trosze dyrygenta Alexandra Schneidera. To o nim kiedyś pianista Mieczysław Munz, znany głównie jako pierwszy mąż Anieli Rubinstein i jedyny nauczyciel pianisty Emanuela Axa, powiedział, że przypomina mu genialnego pianistę Józefa Hoffmana. Spytany, dlaczego, jako że Hoffman w ogóle nie zajmował się dyrygenturą, Munz odpowiedział: "O to mi właśnie chodzi!". Było to niedługo po moim przybyciu do Nowego Jorku, kiedy Schneider zebrał grupę młodych smyczkowców z konserwatoriów i szkół muzycznych, w tym wielu moich kolegów, i w wigilijną noc – koncerty rozpoczynały się o północy! – prezentował repertuar złożony głównie z dzieł okresu baroku i klasyki. Dla mnie, nowego nowojorczyka, atrakcją była nie tylko szansa zobaczenia przyjaciół na scenie, ale późniejsze wyprawy na pobliski Times Square i na parówkę u Nathan'sa. Tak, łąza się w oku kręci...

Z CZASEM ATRAKCJĄ TYCH KONCERTÓW stało się angażowanie znanych artystów jako solistów wieczoru, jeszcze później z jednego koncertu zrobiły się dwa. Po śmierci Schneidera w 1993 roku orkiestrę przejął i poszerzył jej skład inny znany skrzypek – Jaime Laredo, który z czasem stał się również doświadczonym dyrygentem.

Dzisiaj, tak jak wówczas, podczas 10 dni poprzedzających Wigilię, młodzi muzycy zbierają się na intensywne próby i zajęcia z muzyki kameralnej prowadzone przez znakomitych artystów, którzy potem zasiadają z nimi przy tylnych pulpach znaczącej teraz rozmiarami orkiestry. Jej członkami są studenci konserwatoriów, i to nie tylko tych kilku najsłynniejszych: jest to o tyle godne uwagi, że poziom zespołu zmieniającego skład z roku na rok i pracującego ze sobą bardzo krótko jest wprost nieprawdopodobnie wysoki.

Z dwóch tegorocznych koncertów usłyszałem ten drugi i chyba atrakcyjniejszy: w programie znalazły się tak wymagające dzieła jak *V symfonia* Beethovena i *I koncert fortepianowy d-moll op. 15* Johanna Brahmsa, w którym solistą był znany pianista Peter Serkin (już jako nastolatek występował i nagrywał ze Schneiderem). Bez wątpie-



New York String Orchestra dyryguje Jaime Laredo, przy fortepianie Peter Serkin

nia najciekawszym punktem programu była symfonia Beethovena: tak, ta sama kompozycja, którą niemal każdy meloman zna na pamięć. Nie spodziewałem się po rzeczowym zazwyczaj dyrygencie takiego temperamentu i energii, a po orkiestrze podobnego zaangażowania. Czasami mówi się, że ktoś grał tak, "jakby jego życie od tego zależało": miałem takie właśnie wrażenie słuchając młodego, ale nad podziw zdyscyplinowanego zespołu. Zdarzały się od czasu do czasu małe nieścisłości czy minimalne usterekki intonacyjne, ale one wszystkie mogłyby być wybaczone nawet jakiejś sławnej orkiestrze. Zachwytiło mnie bogactwo brzmienia smyczków i zapal muzyków, którzy grali z rzadkim entuzjazmem i prawdziwą wirtuozerią. Przypuszczam, że mając taki narybek amerykańskie orkiestry nie muszą specjalnie obawiać się o obniżenie swojego poziomu...

Doskonałe wrażenie zrobił też szeroko rozbudowany wstęp do koncertu Brahmsa: najwyraźniej Laredo, podobnie jak ja, słyszał tę muzykę tak, jak młody, pełen wigoru, zakochany 24-letni pianista-wirtuoz, którym był Brahms w chwili tworzenia epokowego dzieła. Niestety, już od pierwszego wejścia fortepianu sytuacja uległa zmianie i cała energia zanikła. Nie tylko tempo "siadło", ale cała koncepcja wydała się nieco neurasteniczna. Porwy energii zdarzały się, ale podczas kilku momentów zaledwie, co sprawiło wrażenie niezrównoważenia wykonawcy. Serkin, niestety, gra na fortepianie w taki sposób, że instrument niemalże nie ma prawa mu brzmieć. Wdawanie się w szczegóły, którymi podniecaliby się może pomniejsi pedagogzy fortepianu, jest tutaj bez znaczenia. Z pewnym żalem słuchałem tej dziwacznej, a innych miejscach nudnej interpretacji, choć wciąż pozytywnie muszę ocenić grę orkiestry, która mogłaby zyskać na artyście o większych zdolnościach instrumentalnych. Czasami wydaje mi się, że od swego wielkiego ojca Rudolfa Peter wziął niestety to, co najgorsze, albo stara się naśladować innych, co sprowadza się jednak do karykatury.

Laredo ze swoimi podopiecznymi

mi wraca do tego koncertu co parę lat. Przed trzema solistą był trochę pianistycznie nie w pełni sprawny Leon Fleisher (jakoś gry można mu wybaczyć ze względu na chorobę, wiek, chociaż w takiej sytuacji wybiera się łatwiejsze kompozycje), teraz wątpliwy Serkin, więc może... do trzech razy sztuka?

BRAHMS NIE MIAŁ RÓWNIĘ SZCZĘŚCIA na tej estradzie kilka dni wcześniej, kiedy ceniony w pewnych kręgach francuski pianista Jean-Yves Thibaudet postanowił przedstawić swoją wizję młodzieńczej *Sonaty f-moll op. 5*. Bywają chybione interpretacje, bywają nie szczególne wieczory, kiedy artysta ma "zły dzień". Ja miałem do czynienia z parodią, spłyceniem, niefrasobliwością. A może zazwyczaj pewny technicznie pianista był po prostu nieprzygotowany. Zdarzały się momenty, że odnosiłem wrażenie, iż słucham płyty gramofonowej, po której ślizga się igiełka i co chwila przeskakuje o kilkanaście taktów do przodu. Nie warto by chyba o tym nawet wspominać, gdyby nie to, że interpretacja Thibaudeta została nadzwyczaj pozytywnie przyjęta przez dwóch ważnych nowojorskich krytyków, którym zazdrościć powinienem usłyszenia popularnej skądinąd sonaty Brahmsa po raz pierwszy w życiu, bo tylko tym można wytłumaczyć ich ignorancję.

Pierwsza część programu poświęcona była kompozycjom Ravela i pomimo licznych niepewności w cyklu *Miroirs* powiodła się nieco lepiej: tutaj ton pianisty nienadający się do muzyki Brahmsa sprawdził

się w szmerach, półcieniach, impresjonistycznym przymgleniu kompozycji jego francuskiego rodaka. Od lat uważałem Thibaudeta wprost za mistrza "grania o niczym": omawiany recital jedynie utwierdził mnie w tym przekonaniu. Aha, ważny szczegół: tym razem ekstrawagancki w kwestiach garderoby pianista nie wystąpił w czerwonych skarpetkach, po których można go było zawsze rozpoznać...

Ciekawe; dwa tygodnie wcześniej tę samą sonatę Brahmsa, na tej samej estradzie, grał 82-letni pianista austriacki Paul Badura-Skoda. Znany niegdyś ze swojej bogatej dyskografii Badura-Skoda nie był nigdy pianistą tej samej klasy, co jego młodszy francuski kolega. Dziś jego pianistyczne rzemiosło ucierpiało jeszcze bardziej i w trudniejszych momentach sonaty braki techniczne dawały o sobie wyraźnie znać. Mimo to miałem wciąż wrażenie, że obcuje z prawdziwym muzykiem, a nie bezmyślnym studentem. Tyle, jeśli chodzi o "zasłużoną sławę"...

NIE MIAŁ PROBLEMÓW Z FORTEPIANEM MARC ANDRÉ HAMELIN w recitalu prezentowanym w Kaufmann Hall w kompleksie 92 Y Street. Trzonem programu, który otworzyły znane *Wariacje f-moll* Josepha Haydna, były dwa, największe chyba poza kompozycjami Chopina, dzieła repertuaru romantycznego: *Sonata h-moll* Liszta i *Fantazja C-dur op. 17* Schumanna. Co łączy te utwory i co stanowi o trafności umieszczenia ich w jednym programie, to fakt, że obaj kompozytorzy wzajemnie dedykowali je

sobie, oraz że należą one do najtrudniejszych interpretacyjnie pozycji repertuaru. Hamelin w wywiadzie zamieszczonym w książeczce programowej przyznaje, że *Sonatę h-moll* Liszta dopiero niedawno rozpoczął grać publicznie, choć zna ją od dziecka. Zaoferował nam wysoce indywidualną wersję, przywiązując uwagę do wielu detali pomijanych lub niedostrzeganych przez innych wirtuozów. Pianistom ta kompozycja – jak mało która – pozwala na wykazanie nie tylko umiejętności technicznych, ale inteligencji: w przypadku Hamelina mamy do czynienia wręcz z nadmiarem i tych pierwszych, i drugiej.

Czy jest interpretacja, którą można by nazwać definitywną? W swojej kolekcji nagrań spośród kilkudziesięciu tych "definitywnych" musiałbym wybrać więcej niż tuzin. Można jednak zadać inne pytanie: czy była to interpretacja, którą rozpoznałbym wśród kilkunastu innych? I na to pytanie muszę odpowiedzieć, że zdecydowanie tak. Hamelin nie jest muzykiem, którego można by scharakteryzować jako wylewnego: pewna obiektywność, pewien dystans jednocześnie może się stać atutem i deficytem. W momentach refleksyjnych czy pełnych romantycznej żarliwości ten obiektywizm może być odebrany jako brak trudnego do zdefiniowania, ale wciąż wyczuwalnego "ciepła". Z punktu widzenia opanowania czy pokonywania problemów technicznych wielki wirtuoz wykazał nadzwyczajną wręcz kontrolę i umiejętność.

Ten sam zastaw problemów w moim mniemaniu był w pełniejszej nawet natchnienia *Fantazji C-dur* Schumanna, kompozycji, której wykonania przez Hamelina opisywałem już na tych szpaltach. Być może jego interpretacja z czasem zaczyna coraz to bardziej do mnie przemawiać, chociaż w moim sercu nigdy nie dorówna prawdziwie natchnionym, jak Sofronickiego, Kempffa, Horowitza czy Moiseiwiticha. Tym razem ponownie podziwiałem wspaniałą łatwość techniczną w kodzie drugiej części i naturalność narracji w melancholijnym finale, w którym Schumann powtórnie deklaruje swoją miłość do żony Klary, cytując raz jeszcze fragment z cyklu pieśni Beethovena *Do dalekiej ukochanej*.

Na szczególną uwagę zasługiwał również wykonany jako preludium do fantazji Schumanna *Nokturn nr 6 op. 63* Gabriela Faurégo, kompozytora, o którym Hamelin mówi, że jego nieobecność w repertuarze pianistów jest niewytłumaczalna. □

Na co koniecznie trzeba się wybrać w styczniu 2010 r.

Metropolitan Opera: nowa, uwspółcześiona produkcja *Carmen* Bizeta w reżyserii Brytyjczyka Richarda Eyrsa. W rolach głównych: Elina Garanca (*Carmen*), Roberto Alagna (*Don José*), Mariusz Kwiecień (*Escamillo*), Barbara Frittoli (*Michaela*); dyryguje młoda gwiazda z Montrealu Yannick Nézet-Séguin.

Renée Fleming powraca do roli Marszałkowej w operze Richarda Straussa *Der Rosenkavalier*, a również wielka Susan Graham śpiewa partię jej kochanki Octaviana. Tercet pań wzbogaca Christine Schäffer jako Sophie. O bilety mo-

że więc być trudno, transmisja radiowa w sobotę, 9 I.

Carnegie Hall: miłośnikom Schönberga, Berga, Bouleza i Mahlera polecam serię trzech koncertów Filharmonii Wiedeńskiej pod dykcją Daniela Barenboima i Pierre'a Bouleza (15, 16, 17). W ich wykonaniu warto posłuchać nawet gamy C-dur...

Natomiast **Met Opera Orchestra** pod dykcją Jamesa Levine'a powraca do Carnegie 24 I z symfoniemi Beethovena i Schuberta oraz pieśniami R. Straussa z wielką Dianą Damrau.

JOANNA ROSTROPOWICZ-CLARK

Arcydzieło z piekła rodem

**Kto z umarłymi mak
spożył, z ich plonu
zachowa najłżejszy takt
i tchnienie tonu.**

Rainer Maria Rilke, *Sonetu dla Orfeusza*, I, 9
Tłum. Mieczysław Jastrun

Różnymi w literaturze drogami żywi odwiedzali zaświaty. Odyseusza do krainy cieni zagnały morskie wiatry, wpłynął tam i wypłynął statkiem, wstrząśnięty skargą Achillesa, że lepiej być żywym niewolnikiem niż martwym cieniem herosa. Dante zszedł do piekła spośród gór i lasów, z daną mu przez Beatrycze obietnicą raj. Narrator powieści *Fabryka mucholapek*, pisarz Andrzej Bart, wchodzi na zaświatową salę sądu przez składzik ze szczołkami, a wewnątrz, w jakim się znalazł, dziwi, ale nie przeraża, nie kontrastuje z realnym widokiem na zewnątrz: miejskiej dzielnicy obecnego miejsca i czasu. Dzisiejszej Łodzi.

JAKŻE TEŻ INNY NIŻ U JEGO KLASYCZNYCH POPRZEDNIKÓW jest motyw eschatologicznej wędrówki narratora *Fabryki mucholapek*. Nie kieruje nim moralny czy poznawczy niepokój, nie zna nawet celu przedsięwzięcia, na które otrzymał anonimowe zlecenie i kopertę, której zawartość pozwoli mu wybrnąć z finansowego dołka. Jest to pierwszy sygnał gorzkiej ironii tej powieści: jej temat w naszych czasach stał się towarem. Zleceniodawcy potrzebny jest ktoś z nazwiskiem, znający miasto, ktoś z wyczuciem dla żydowskich historii. Jeśli słyszał o powieściach Barta, widział jego filmy dokumentalne *Radegast* czy *Hioba*, może wierzyć, że wybrał dobrze. Że towar pójdzie.

Bart-reporter nie od razu orientuje się, gdzie wszedł i jego niewiedza koresponduje – w równoległym toku narracji – z niewiedzą niewielkiej grupy żydowskich prominentów z łódzkiego getta, gdzieś nocą w sierpniu 1944 r. wiozionych specjalnym pociągiem. W wagonie-salonie stary "król" Litzmannstadt-Ghetto, Chaim Rumkowski, patrzy przez okno na bele bawełny, na dymy i chmury grożące bawelnie ulewным deszczem. Jego młodą żonę Reginę dręczą niespokojne myśli. Wyszła za mąż za Rumkowskiego, żeby ratować swoich bliskich, ale co dalej? Jest z nimi zaadoptowany sierota, dziesięcioletni Marek – co z nim się stanie?

BART-AUTOR PRZYPOMINA NAM LEGENDARNĄ WERSJĘ śmierci Rumkowskiego: zatrudnieni w Birkenau Żydzi wrzucili go do pieca. Może to prawda, a może, tak jak ją zda salonką, opowieść apokryficzna? Więc nie jego śmierć, ale sprawowana w ostatnich latach życia władza w getcie jest przedmiotem wyobrażonego przez pisarza procesu o znamionach sądu ostatecznego, mimo braku odpowiedniej wobec ogromu sprawy powagi. Wszystko



tu bowiem prowizoryczne, hałaśliwe, tandetne – łódzkie żydowskie życie, łódzki żydowski sąd. Wezwani w ostatniej chwili adwokat i prokurator płaczą się w argumentach, sędzia (Najwyższy!) ćmi cygaro, oskarżony to stuka w złości laską, to zapada w drzemkę, świadkowie kłócą się między sobą w drobnych kwestiach gettowego kumoterstwa. Nie wszyscy, bo dochodzą do głosu świadectwa straszne: o zgodzie Rumkowskiego na wydanie na śmierć dzieci, chorych, niezdolnych do pracy.

Zeznaje kilkunastoletni Dawid Sierakowiak, zmarły z głodu autor genialnego *Dziennika*; mówi o korupcji w getcie, brutalnym egoizmie kliki Rumkowskiego. Pojawiają się świadkowie-eksperti, wśród nich Hannah Arendt, zakrzyczana przez salę za jej teorie banalności zła i bierności Żydów. Stawia się administrator getta Hans Biebow (zmarł śmiercią naturalną w wiele lat po wojnie), pochlebiający sobie, że źle Żydom nie życzył, tylko robił, co musiał. Organizował przemysł, fabryki mundurów, menażek, mucholapek... Do morderstw, notorycznych gwałtów, gromadzenia majątku z rzeczy odebranych Żydom nie przyznaje się. (Na procesie w Norymberdze komendant obozu Auschwitz Rudolf Hess, zapytany przez tłumacza Richarda

Sonnenfeldta, czy brał dla siebie kosztowności więźniów, oburzył się: "Za jakiego człowieka pan mnie uważa?"). Stopniowo proces się rozłaził. Tak, Rumkowski na żądanie rzeczywistych katów składał ofiarę z dzieci. Ale gdyby wojna skończyła się wcześniej, dzięki niemu ocalałoby sto tysięcy Żydów... Ktoś się irytuje, żeby kończyć "... bo będziemy tu siedzieć całą wieczność".

POLONIKA

- Zespół artystów Opery Śląskiej w Bytomiu wyruszył na krótkie zimowe tournée po Europie. W najbliższych dniach publiczność m.in. Monachium i Kolonii usłyszy jedno z najsłynniejszych dzieł Giuseppe Verdiego: *Nabucco* w reżyserii Laco Adamika.

W występach w Niemczech bierze udział niemal stuosobowy zespół – soliści oraz chór i orkiestra, która wystąpi pod dyktando szefa bytomskiej opery Tadeusza Serafina.

- Zmarła Janina Lewinson-Bauman, pisarka, córka zamordowanego w Katyniu lekarza i oficera Wojska Polskiego Szymona Lewinsona. Urodziła się w 1926 r. w Warszawie. Pracowała w przemyśle filmowym

KRYTYCY DOSTRZEGAJĄ AFILIACJE *Fabryki mucholapek* z Kafką (wspomnianym w tekście), *Mistrzem i Małgorzatą* Bułhakowa, Brunonem Schulzem. Schulzowska jest atmosfera tandety i blichtru, zawieszenie czasu, współistnienie bytu z niebytem. Stylistycznie Andrzej Bart jest spadkobiercą Tadeusza Borowskiego z opowiadań oświęcimskich, ich pozornej lekkości (*Proszę państwa do gazu*).

Postać Chaima Rumkowskiego wprowadził do literatury Adolf Rudnicki w *Kupcu łódzkim*, o czym Bart wspomina, polemizując z bezwzględny tam potępieniem "prezesa". Jako ważne źródło informacji – szczególnie o losie mrących "jak muchy" w łódzkim getcie zasymilowanych Żydów z zachodniej Europy, Czech i Austrii – Bart przytacza *Żółtą gwiazdę i czerwony krzyż*, infernalny pamiętnik Arnolda Mostowicza. Młody lekarz w getcie, później więzień kilku obozów, nigdy i nigdzie niewzwany na świadka – po wojnie był Mostowicz redaktorem naczelnym *Szpilek* i wydawcą wielu antologii humoru! Dodatabym także powinowactwo z ziomkiem łódzianinem, Jarosławem Markiem Rymkiewiczem, jego powieścią *Umschlagplatz*. Utożsamiony z autorem narrator *Umschlagplatzu* jest współczesnym badaczem zagłady warszawskich Żydów, a jednocześnie stwarza fikcyjny obraz żydowskiego środowiska tuż przed wojną, z takimi historycznymi postaciami jak Isaac Bashevis Singer.

ŻADNE Z TYCH LITERACKICH POKREWIEŃSTW nie jest naśladownictwem, raczej świadectwem istnienia odrębnej polskiej szkoły w literaturze Holocaustu, z Henrykiem Grynbergiem na czele niewymienionych tu pisarzy.

Głos Andrzeja Barta w *Fabryce mucholapek* wyróżnia bogaty w odcienie liryzm, spotęgowany autoironią reportera. Jeśli Żydzi bywają tu śmieszni, to tym bardziej stają się żywi, tym głębszą budzą litość i grozę. On sam i towarzyszący mu kolega Jacek są w oczach małego Marka komiczni, wydają mu się w

ich pstrokatych ubraniach kłownami! I są – wobec gehenny ofiar wszyscy jesteście kłownami – mówi nam ta mistrzowska opowieść o duchach, które, choć jesteście im obojętni, nie mogą przestać nas straszyć. W scenie spaceru ulicami współczesnej Łodzi z piękną, czytającą w poezji Czeszką Dorą, na widok ohydnych napisów ze słowem *Jude*, Bart zmyśla dla niej historyjkę o dobrych sąsiadach, którzy, jak w baśni o Ali Babie, mylili Niemców, malując na ścianach znak o mieszkających w każdym domu Żydach. "Potem pokryto napisy bezbarwnym lakierem, aby pozostały na wieczną pamiątkę bohaterstwa fortelu tutejszych ludzi". Zakochany w przywróconej życiu Dorze, Bart nie chce wiedzieć, jak umarła...

W POWIEŚCIACH BARTA, jak w większości światowych arcydzieł prozy, najciekawsze, najlepiej wyobrażone są postaci kobiet. Tu Dora i Regina, w scenariuszu słynnego już *Rewersu* Sabina, jej matka i babcia. Kobiety i – jak w *Fabryce mucholapek* – dziecko. Typowy chłopczyk, Marek nudzi się w ciasnej sali sądu, chce się wydostać na zewnątrz. Rwie się do życia! W ostatniej scenie książki będzie siedział skulony na podłodze wagonu towarowego, obok drżącego Rumkowskiego i milczącej Reginy, wołąc, mimo ciekawości, czy słońce już wschodzi czy jeszcze zachodzi, nie patrzeć i nie słuchać, "pozostać w nieświadomości". Kto wcześniej nie płakał, tu się rozplacze. I nie zdziwi, że nie zapadł wyrok na Rumkowskiego.

W tej powieści, w tej sprawie, ani Panu Bogu zapalili świeczkę, ani diabłu ogarek.

Andrzej Bart, *Fabryka mucholapek*. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2009, s. 276, cena 21 dol. plus 6,50 dol. porto w przypadku zamówienia z wysyłką (do nabycia w Księgarni Nowego Dziennika)

tel. (212) 594-2386

e-mail: ksiazki@dziennik.com

strona internetowa:

www.ksiazkionline.com

jako tłumaczka, reserczerka i korektorka scenariuszy. W 1968 r. wyemigrowała do Izraela razem z mężem, filozofem i socjologiem Zygmuntem Baumanem. Jest autorką autobiograficznej książki *Zima o poranku. Opowieść dziewczynki z warszawskiego getta* (1986 – wersja angielska, 1999 – polska, szczególnego zapisu doświadczeń kilkunastoletniej dziewczynki obserwującej tragedię mieszkańców getta.

Gazeta Wyborcza

- *Magazyn Wileński* – pierwsze niezależne polskie pismo na Litwie obchodzi w 20-lecie istnienia. Powstało ono z myślą o Polakach zamieszkałych na Litwie, ale i tych, których dziejowe zawirowania rozrzuciły po całym świecie.

Początkowo był to dwutygodnik. Od szesnastu lat wychodzi jako miesięcz-

nik. Do dziś ukazało się 311 numerów. 44-stronicowe kolorowe pismo publikuje artykuły o polityce, sprawach społecznych i kulturalnych, dotyczących oświaty polskiej, poprawnej polszczyzny i tradycji Wileńszczyzny. Dużą popularnością cieszyły się m.in. cykle reportaży: "Śladami sienkiewiczowskiego *Potopu*", "O dawnych dworach polskich na Litwie", "Z dziejów harcerstwa polskiego na Litwie", "O Polakach z Litwy kowieńskiej".

W 1991 roku wydawcy *Magazynu* założyli Wydawnictwo Polskie w Wilnie, które ma w dorobku już około 50 tytułów – tomiki poetów wileńskich, przewodniki po Wilnie i Wileńszczyźnie, książki historyczne napisane na podstawie wspomnień i dokumentów, takie jak *Los Wilnianina w XX w.* czy *Wilniana z Syberią w tle*.

R/EK

NASZA OJCZYZNA-POLSZCZYZNA | KRYSZYNA S. OLSZER

Szcześćcia w Nowym Roku, nasza wierna mowo!

**Nie miecz, nie tarcz
- bronią Języka
Lecz - arcydzieła...**

Cyprian Kamil Norwid,
Język-ojczyzny

Początek roku nastroja do układania ambitnych planów. Z nową wiarą podejmuje codzienne trudy, czym prędzej odrabiamy zaległości, na nowo zabieramy się do ćwiczeń fizycznych, chudniemy i kupujemy bilety do opery. Postanawiamy być mądrzejsi, młodszy(?), lepsi. Póki zapal świeży, mobilizujemy siły i wiarę w siebie. W tym poświęconym nastroju kieruję do Czytelników prośbę-życzenie, by w Nowym Roku dbali o "naszą ojczyznę-polszczyznę".

NIE CHCIAŁABYM JEDNAK ZACZYNAĆ NOWEGO ROKU od zwykłych utyskiwań na niedostatki polszczyzny. Z braku budujących przykładów na rodzimym glebie zwracam się po nie do Francuzów, znanych z przywiązania i dbałości o swoją francuszczyznę. To przecież oni pierwsi powołali do życia szacowaną Akademię Francuską, gremium "40 nieśmiertelnych", którego jedynym zadaniem jest czuwanie nad stanem języka francuskiego i tworzenie jego słownika. We Francji nikogo nie dziwi, że państwo bardzo aktywnie angażuje się w sprawy szkolnictwa, kultury, języka i narodowych symboli. Przed kilkoma miesiącami rząd, a ściśle Eric Besson, minister odpowiedzialny za sprawy tożsamości narodowej, imigracji i integracji, postawił rodakom (w specjalnej witrynie komputerowej) pytanie: "Co dla was znaczy być Francuzami?". Witryna zatkała się prawie natychmiast, bo tak wielu Francuzów zapragnęło wypowiedzieć się na zadany temat. Obecnie w całym kraju organizowane są dyskusyjne spotkania z udziałem radnych, nauczycieli i duchownych, a prezydent Sarkozy zachęca do umacniania francuskiej tożsamości – tak istotnej w epoce Unii Europejskiej i globalizacji. Zabierają głos przedstawiciele wszelkich środowisk. Padają najrozmaitsze wypowiedzi – od negujących znaczenie narodowej tożsamości po takie, które gloryfikują patriotyzm i przekonanie o najwyższych wartościach dorobku Francuzów – od budowniczych gotyckich katedr począwszy po współczesnych twórców elektrowni atomowych (w obu przypadkach przodowała i przoduje Francja). Już w lutym 2010 roku Francuzi usłyszą podsumowanie rezultatów narodowej debaty i będzie to interesujący wgląd w świadomość jednego z przodujących społeczeństw świata.

Piszę o tym wszystkim nie bez powodu. Wśród wypowiedzi Francuzów natknęłam się na zdanie wybitnego filozofa Alana Finkielkrauta, które pragnę podać pod rozwagę czytelnikom. Finkielkraut przestrzega rodaków, by w toczonych dyskusjach nie dali się uwieść pozorom narodowych symboli, bo "miłości do Francji – twierdzi – nabywa się nie tyle przez symbole, ile przez doskonalenie języka wykształconego na literaturze. Miłość do Francji nie jest celem, raczej wynikiem poznania cywilizacji francuskiej" – uważa Finkielkraut (cytuje za artykułem z warszawskiej *Polityki* nr 47). Zdanie to daje wiele do myślenia, dobitnie podkreślając rolę języka w kształtowaniu narodowej świadomości.

PODOBNE OPINIE ŁATWO ZNALEŹĆ u polskich intelektualistów i twórców kultury. W naszej historii nieraz padały głosy domagające się dla polszczyzny praw i opieki państwa. Powoływane były także odpowiednie instytucje. W naszych czasach taką jest Rada Języka Polskiego działająca przy Polskiej Akademii Nauk. Cytaty, które przytaczam w dalszej części felietonu są głosami twórców i obrońców polszczyzny, które padały na przestrzeni stuleci.

Już w pierwszej połowie XVI wieku Mikołaj Rej z Nagłowic gniewał się na rodaków, że "zadrzemali" i "zaniechawali" język ojczysty: "Niedbalszych nie masz ludzi jako Polacy a co by się w swym języku nie kochali". On też sformułował myśl, która przez wieki przyświecała Polakom walczącym o prawa języka narodowego: "Niechaj narodowie wzdry postrońni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają". Inny pisarz czasów oświecenia, Łukasz Górnicki, domagał się szacunku dla języka polskiego i postawił go na czele cnót zdobiących dworzana króla Zygmunta Augusta, ostatniego z Jagiellonów. Tenże Górnicki pouczał

**Twórcy i reformatorzy czasów oświecenia
zapoczątkowali opiekę państwa
nad kulturą i językiem powołując do życia
Komisję Edukacji Narodowej i Teatr Narodowy.**

Polaków, że w tych rzeczach, "do których wyrażen i słów mamy obfitość, innych używać z samego tylko fiutyństwa i niezgrabnej fanfaronady, jest nierozsądkiem"; a wyszczególniając najważniejsze cechy wzorowego dworzana pisze: "Dworzanin będzie u wszystkich ludzi z podziwieniem osobny, i będzie miał we wszystkim gracyją, zwłaszcza w mowie, jeśli się strzec będzie wydwarzania (to jest przysady albo affektacyi), której wady pełno wszędzie, podobno u nas w Polsce więcej jak gdzie indziej; albowiem nasz Polak by jeno kęs z domu wyjechał, wnet nie chce inaczej mówić jeno tym języ-

kiem, gdzie troszkę zamieszkał. Jeśli we Francji to *par ma foy*, jeśli był we Włoszech, to za każdym słowem *sinior*, jeśli w Hiszpanii to *nos otros cavalieros*... A jeśli mu rzeczesz, żeby swoim językiem mówił, to powiada iż zapomniał, albo że mu się przyrodzony język prawdziwie grubo widzi...".

NIE TRZEBA PRZYPOMINAĆ ZASŁUG JANA KOCHANOWSKIEGO, który niemal w pojedynkę stworzył literacką polszczyznę, a był nią tak przejęty, że próbował nawet opisać i uregulować zasady naszej ortografii.

Pomijając wielu innych zasłużonych dla rozwoju języka, wspomnę tylko twórców i reformatorów czasów oświecenia, którzy zapoczątkowali opiekę państwa nad kulturą i językiem powołując do życia Komisję Edukacji Narodowej i Teatr Narodowy, którzy stworzyli pierwsze czasopisma i biblioteki oraz dali początek powszechnemu szkolnictwu. Ich reformy stanowiły podstawę odnowy narodowej kultury po czasach barokowego krasomówstwa i makaronizmów. Rezultatem ich wysiłku był wspólny rozwój literatury czasów romantyzmu, kiedy polszczyzna sięgnęła szczytów i spełniła ambitne pragnienia Juliusza Słowackiego wyrażone w *Beniowskim*:

*Chodź mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko,
co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun
jasny, prędko,
A czasem smutny
jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga
nimfy miętki,
A czasem piękny
jak aniołów mowa...*

Przez cały okres zaborów i niewoli język stanowił twierdzą polskości. Pokiereszowany i skażony przetrwał zabory, okupację i czasy nowomowy, by odrodzić się, rozkwitnąć i dalej służyć Polakom. Nie inaczej niż Francuzi, wszyscy jesteśmy za niego odpowiedzialni, bo stanowi naszą najcenniejszą wspólną wartość. "Jaki język – taki naród" – powiedział Tadeusz Boy-Żeleński w *Pieśni o mowie naszej*, a Czesław Miłosz tak sformułował swój obowiązek w wierszu *Moja wierna mowa*:

(...)
*Moja wierna mowo,
Może to jednak
ja muszę cię ratować.
Więc będę dalej stawiać przed tobą
miseczkę z kolorami
Jasnymi i czystymi
jeżeli to możliwe,
Bo w nieszczęściu potrzebny
jakiś ład czy piękno.*

Pamiętajmy o tej potrzebie ładu i piękna... □

ŻABKĄ PRZEZ ATLANTYK

Znikający punkt



Marek
Kusiba

Od początku roku mamy nową wojnę, tym razem angielsko-włoską, i jak każdą poprzednią, także i tę wywołali Niemcy, a konkretnie jeden Niemiec. Wyspiarze i półwyspiarze toczą oto zacięte boje o Punkt Gräfenberga. Zaledwie kilka lat po przegranej drugiej wojnie światowej niemiecki ginekolog wywołał trzecią, bardzo wybuchową, tyle że na argumenty, biorąc odwet na pozostałej przy życiu, lepszej połowie populacji Europy, czyli naszych (i nie naszych) mamach i babcjach, opisując rzekomo jedną z najwrażliwszych stref erogennych ich ciał.

Trzeba przyznać, że plan Gräfenberga w pełni się powiódł: od pół wieku trup ściele się gęsto w gabinetach lekarskich, na prześcieradłach sypialni oraz szpałtach gazetowych świata. Włoscy sympatycy niemieckiego dyktatora punktu G, kolaborujący z Niemcami niczym za Mussoliniego, dowiedli istnienie punktu na podstawie badań USG, przeprowadzonych na gorących Włoszkach. Ustalenia naukowców z Uniwersytetu L'Aquila zaatakowali ostatnio badacze z King's College w Londynie, twierdząc, że punkt G jest tworem kobiecej wyobraźni, stymulowanej przez terapeutów tudzież artykuły w tabloidach. Rezultaty swoich prac przedstawili w najnowszym numerze czasopisma *Journal of Sexual Medicine* i, moim zdaniem, nie budzą one cienia wątpliwości.

Przekonała mnie do nich metoda, zastosowana przez Anglików: przebadali wyłącznie bliźniaczki. Ustalenia profesora Tima Spectora, współautora raportu, pokrywają się z moimi obserwacjami pewnej pary bliźniaków jednojajowych. Jednojajowe, podobnie jak jednojajowi, posiadające (posiadający) ten sam materiał genetyczny, powinny (powinni) mieć identyczne poglądy, nie tylko polityczne, ale i identyczne odczucia, w tym i odczuwanie posiadania sportnego punktu pewnego Niemca. A tak nie jest. Badane bliźniaczki jednojajowe równie ochoczo przyznawały się do posiadania punktu, o który toczy się wojna angielsko-włoska, a nawet światowa, co bliźniaczki dwujajowe. To doprowadziło zinnego Anglika do jedynie słusznego wniosku, że "wyobrażenie punktu G jest sprawą subiektywną", czyli takowy istnieje tylko w kobiecej imaginacji. I masz babo punkt, przepraszam: placek. Z wyników badań Anglików wynika zatem, że ustalenia Włochów na temat odkrycia Niemca można między bajki włożyć, czyli są literaturą, drukowaną od pół wieku metodą wynalezioną pięć wieków wcześniej przez innego Niemca, Gutenberga...

I tu już jesteśmy bardzo blisko moich bliźniaków jednojajowych. Są to dla mnie postaci bardzo literackie, opisane przez Kornela Makuszyńskiego w powieści *O dwóch takich, co ukradli księżyc*. Fabuła dziełka jest dziecinnie (dosłownie) prosta: we wsi Zapiecek przychodzą na świat żarłoczni, okrutni i leniwi bliźniacy – Jacek i Placek. Od początku wiadomo, że nic dobrego z nich nie wyrośnie, no chyba że politycy. Ponieważ nie chcą pracować, teraz ani w przyszłości, postanawiają ukraść księżyc ze złota, by go sprzedać.

Powieść Makuszyńskiego została sfilmowana w tym samym mniej więcej czasie, w którym Gräfenberg wymyślał swój punkt. Jacek i Placek wpadli w ręce złoczyńców, poznali pozorną wartość wszystkich skarbów, postanowili zatem wrócić do swego zaścianka, czyli Zapiecka, by pomagać ludziom, czytając: zostać politykami. Urodzeni (a)społecznicy skwapliwie skorzystali z możliwości zrobienia kariery, jako że otrzymali, z tytułu swego pochodzenia, punkty na studia.

Kornel Makuszyński umarł w roku 1953 i spoczął na Pęksowym Brzyzku, z widokiem na Giewont, czyli tatrzański punkt G, którego zdobycie jest stałym punktem programu szkolnych wycieczek. W tym samym 1953 r. w Argentynie punkt G literatury polskiej, wyzwalający rozkosze (czytelnicze), czyli Witold Gombrowicz, niechcący dopisywał Makuszyńskiemu charakterystyki dorosłych już bliźniaków przy władzy: "Polak, konfrontujący się ze światem wschodnim, jest Polakiem określonym i z góry wiadomym. Polak, zwrócony twarzą na Zachód, ma mętne oblicze, pełne niejasnych gniewów, niedowierzania, tajemniczych zadrzań" (*Dziennik*, 1953).

Wizjonerski Gombrowicz punktował wszelkiej maści Głupstwo, a promował Genialność własną i nieomylną przypisaną jego wielkiej Głowie, a nawet dwóm, bliźniaczym Głowom: tej polskiej i tej wszechludzkiej, Globalnej. Autor *Ferdynand* miał fioła na punkcie humoru i honoru (Polaków) oraz drugiego fioła na punkcie pana G, czyli własnym. Jak wiemy z bliźniaczych naszych doświadczeń emigracji (mojej i wielkiego Gombrowicza), oraz doświadczenia obecności w polskim życiu pary bliźniaków, zarówno punkt humoru, jak i punkt honoru są w totalnym zaniku, czego nie można powiedzieć o literaturze Gombrowicza. Był tak genialny, że nawet uprzedził i obalił ustalenia Gräfenberga: "Bezkonkurencyjna jest pierwotna piękność kobiety, ta którą przyozdobiła ją natura – nic wspanialszego ani bardziej podniecającego i upajającego (...)" (*Dziennik*, 1953).

I tego należy szukać w kobiecie, Panie i Panowie, a nie żadnych mitycznych i politycznie zabarwionych Punktów Gräfenberga...

**Jak wiemy
z doświadczenia
obecności
w polskim życiu
pary bliźniaków,
zarówno punkt
humoru, jak i
punkt honoru
są w totalnym
zaniku...**

MARZENA BRODA

No kill

Zastuchana w obroty silnika, czułam się na tyle pewnie,
By dodać gazu, przyspieszyć na drodze,
Która wyla się zboczem góry i ginęła pod liśćmi.
Wyglądało na to, że tej nocy wiatr powyrywał drzewa,
Wiał tak, jakby nigdy nie zamierzał przestać.
Teraz więc zwisające z konarów połamane gałęzie,
Niedbale zespolone z innymi, stworzyły rusztowania,
Raczej straszne, jako dowód tego, co potrafi wichura.

W lusterku widziałam niebo. Miało wyraz rezygnacji,
Jaki ma miejsce, w którym od dawna nikt nie mieszkał.
Potem przed oczami mignęła mi przydrożna kapliczka,
Ktoś zasłonił ołtarz czarnym workiem na śmieci.
Przejechał samochód. Zauważyłam rękę machającą do mnie,
Ale nie rozpoznałam ani samochodu, ani osoby.

Jechałam wzdłuż lasu, aż droga skręciła w prawo,
Tnąc w poprzek tory kolejowe prowadziła nad zaporę
Na Jeziorze Żywieckim. Woda w zbiorniku metalicznie
Blyszcząca. Była nieruchoma, jakby nalana do szklanki.
Zaparkowałam blisko nieczynnej przystani.

Skrzypiały rowery wodne, zestrojone w rytm kołysania
I niebieskie. Na piasku leżały kajaki, każdy na boku,
Jak wypatroszona ryba. Powierzchnia wody nagle
Jakby leciutko, ale nieco mocniej zadrżała,
Wtedy spojrzałam na jezioro tuż przy linii brzegu –
Przez wszystkie lata, gdy tu przyjeżdżałam,
Nie doświadczyłam takiej pustki,
Ta pustka była zupełnie inna mimo że taka sama.
Miała w sobie coś z żalu po przegranej walce.

Dziesięć minut później przyniosłam z samochodu wędkę.
Uniosłam ją ponad głowę i szybkim ruchem
Wyrzuciłam ramię do przodu. Kołowrotek zaterkotał.
Obserwowałam, jak przynęta przelatuje nad wodą,
Pluska i znika pod powierzchnią gładką, lśniąca
I ciemną, tworząc na jeziorze drgające kręgi.

Stałam tak i czekałam, aż od szarpnięcia wędka
Odegnie się raptownie i ryba rozpruje pyskiem jezioro.
Wściekle próbując zerwać linkę zatopocze w powietrzu,
Wreszcie obróci się w moją stronę, żółtobrunatna,
Śliska jak olej z impetem walnie o taflę. Z taką siłą,
Że prawie zabije mnie ten huk, ten rozbrzyg wody.

Inne drobiazgi

Ułożyłam drzewo szybciej, niż się spodziewałam
I zamknęłam szopę. Dzień już przygaszał.
Wiatr szamotał liśćmi, niosąc zapach deszczu.
Gdyby nagle lunęło to rzeka wezbrałaby,
Płynąc wzdłuż drogi podtopiłaby podwórko,
Jednak do ulewy było daleko.

Spragniona odpoczynku, z koszem pełnym szczap
I w ubłoconych butach, weszłam do domu.
W kuchni, rozjaśnionej płomieniem piecyka,
Jak gdyby na przekór zmierzchowi,
Który starał się wdrzeć przez zastony do środka,
Nastawiłam wodę na herbatę.

Pod ścianą stał stół nakryty obrusem i krzesła,
Na szafce słoiki z mąką, cukrem, chleb i sztucce,
Jakiś wazonik w którym polne kwiaty
Zawsze sprawiają przyjemność.
Dom miał swój smak, tak samo jak wszystko,
Ale potrzebowałam pocieszenia,
By z kubkiem herbaty w rękę wyjść na ganek.

Nie wiedziałam gdzie będę jutro czy za tydzień
I kogo spotkam na swojej drodze,
Nie tęskniłam za niczym, nie po tym,
Jak powódź zniszczyła to, co dało się zniszczyć.
Kiedyś wyobrażałam sobie, że laptop, samochód
I inne drobiazgi, które wypełniają życie,
Są tej budowli niezbędne.
Teraz zajmuję tylko tyle miejsca, ile to konieczne.

Góry lodu

Wloką się przez dni w blasku oceanu nagie,
Tylko sen jest drżeniem, które wygładza ciało,
Gdy oczy są nieobecne, a spokój brakiem
Spojrzenia, co w nas nie wnika, by się wydało
Obecne. Topią się śniegi, lecz zastygają
Stopniowo uczucia, na dwóch biegunach Ziemi
Nie znajdziesz strony, gdzie jest bezpieczniejsze, chłód zajął
Przedostatni oddech, jeśli tak lekko zmienił
Tlen w krwioobieg w lód, pozwól żyłom w ich chórze
Piąć się, niech złączą przymierzanie do nowego
Obiegu, zanim Ciebie w odprysku szkła ujrzą,
Aby przez krótki moment posiadały z tego
Ciepło – ostatecznie gładkie. Kto je tak urzekł
Przepływaniem, że widzą w chmurach własne echo.

**Książki
nadesłane****Joseph Conrad
LORD JIM**

Przełożył Michał Kłobukowski
Wydawnictwo Znak, Kraków
2009
s. 370
cena 25 dol.*

**Stanisław Kwiatkowski
NIEDOKOŃCZONY LOT**

Wydawnictwo Nowy Świat, War-
szawa 2009
s. 215
cena 15 dol.*

**Carlos Ruiz Zafón
MARINA**

Przełożyli Katarzyna Okrasko,
Carlos Marrodán Casas
Warszawskie Wydawnictwo Lite-
rackie Muza SA, Warszawa 2009
s. 302
cena 23 dol.*

**Jakub T. Wolski
KSIĘGA KOTÓW POLSKICH**

Ilustrował Bohdan Butenko
Oficyna Wydawnicza Łośgraf,
Warszawa b.d.w.
s. 39

**Krzysztof Muszkowski
KRONIKI LONDYŃSKIE**

Archiwum Emigracji, Toruń 2009
s. 120 plus indeks nazwisk

**Adam Ascher
OBŁĘŻONA SPOŁECZNOŚĆ
Wrocławscy Żydzi w czasach
nazizmu**

Z języka angielskiego przełożył
Jakub Tyszkiewicz
Wydawnictwo Via Nova, Wro-
cław 2009
s. 316 plus słowniczek wybranych
pojęć religii żydowskiej, biblio-
grafia, indeks osób

ARCHIWUM EMIGRACJI

Studia, szkice, dokumenty
Zeszyt (1) 10, rok 2009
Uniwersytet Mikołaja Kopernika,
Toruń 2009
s. 238

*) Książka do nabycia w Księgarni Nowego Dziennika; przy
zakupie z wysyłką do ceny prosimy doliczyć 6,50 dol. porto.

Księgarnia Nowego Dziennika:
www.ksiazkionline.com
tel. (212) 594-2386
e-mail: ksiazki@dziennik.com



Redakcja "Nowego Dziennika" zaprasza w środę 13 stycznia
o godz. 6:30 wieczorem na spotkanie z reżyserem filmów dokumentalnych

TOMASZEM MAGIERSKIM

i projekcją jego filmu "My Father the Luo"

Nasz adres:
333 West 38 Str.,
Manhattan

NOTKI

Filmy o Fryderyku Chopinie będą wyświetlane w Walter Reade Theater (70, Lincoln Center Plaza, Manhattan) od 8 stycznia do 8 maja br. Przegląd prezentowany jest przez Instytut Kultury Polskiej w Nowym Jorku i Lincoln Center Film Society we współpracy z Filmoteką Narodową i Telewizją Polską SA. W najbliższych dniach odbędą się następujące projekcje:

Piątek 8 stycznia

godz. 2 ppoł. – *Calling Mr. Smith*, reż. Franciszka i Stefan Themerson, Wielka Brytania 1943 r., 10 min., *Młodość Chopina*, reż. Aleksander Ford, Polska 1951 r., 131 min.
godz. 4:30 ppoł. – Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina w filmie: Polska Kronika Filmowa (1965), *Rodem z Warszawy*, *Pod znakiem Chopina*, reż. Stanisław

Moździeński, Polska 1955 r.; razem: 86 min.
6:30 wieczorem – *Calling Mr. Smith*, *Młodość Chopina*

9:00 wieczorem – *Impromptu*, reż. James Lapine, Wielka Brytania/Francja 1991, 107 min.
Niedziela 10 stycznia

1:00 ppoł. – Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina w filmie: Polska Kronika Filmowa (1965), *Rodem z Warszawy*, *Pod znakiem Chopina*,
3:00 ppoł. *Calling Mr. Smith*, *Młodość Chopina*.

Piątek, 15 stycznia

1:00 ppoł. *Impromptu*
3:15 ppoł. Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina w filmie: Polska Kronika Filmowa (1965), *Rodem z Warszawy*, *Pod znakiem Chopina*.

Bilety w cenie 11 dol. (seniorzy 8 dol.; członkowie Film Society, studenci i dzieci 7 dol.) do nabycia w kasie, tel. (212) 875-5601 (tylko go-

tówka), online: www.filmlinc.com. Szczegółowe informacje: www.PolishCulture-NYC.org.

Kwartet smyczkowy Neos zainauguruje nowy sezon koncertów muzyki kameralnej w Fundacji Kościuszkowskiej (15 East 65 Str., Manhattan) w niedzielę 10 stycznia o godz. 3:00 ppoł. W programie – *II kwartet* Karola Szymanowskiego, *III kwartet* Schumanna i *Kwartet nr 7* Beethovena. Rezerwacja biletów w cenie 25 dol. (15 dol. dla członków fundacji) – tel. (212) 734-2130.

Ostatni koncert z cyklu "Annual Christmas Concert Series" w wykonaniu kwartetu smyczkowego Slavic Arts Ensemble w składzie: Krzysztof Kuźnik i Mieczysław Gubernat (skrzypce), Maurycy Banaszek (altówka) oraz Marta Będowska (wiolonczela) odbędzie się w piątek, 15 stycznia o godz. 7:00 wieczorem w Fundacji Kościuszkowskiej (15

East 65 Street, Manhattan). W programie: *Canzona kołędowa* Marcina Mielczewskiego, *Scherzo i Largo* z *Sonaty wiolonczelowej g-moll*, op. 65 Fryderyka Chopina, *Music for Christmas Recollection* i *Słowiańska suita bożonarodzeniowa* Waltera Legawca. Wstęp – 20 i 15 dol., rezerwacja – tel. (212) 734-213.

Na projekcję filmu *Grębień od babo* w reżyserii Przemysława Wojcieszka zaprasza Polska Fundacja Kulturalna w Clark, NJ (177 Broadway), w środę 13 stycznia o godz. 7:15 wieczorem. Wstęp wolny.

Miniwystawa ilustracji Marka Ciężkiewicza z Toronto będzie czynna do 31 stycznia br. w barze kawowym Starbucks na Greenpoint (910 Manhattan Ave., Brooklyn). Artysta studiował w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych; dyplom z projektowania uzyskał w 1978 roku.

JERZY R. KRZYŻANOWSKI

O trudnej sztuce tłumaczenia

O ile uboższy byłby nasz świat, gdyby nie codzienny twórcy wysiłek tłumaczy!

Uboższy i trudniejszy do zrozumienia, pomieszanie bowiem języków sprawia, że często nie tylko nie rozumiemy najbliższych nawet sąsiadów, ale arcydzieła światowej nauki i literatury pozostałyby niejednokrotnie nieznanymi, gdyby nie udostępniono ich w przekładach. Te pozorne truizmy uchodzą naszej uwadze, nie myślimy o nich sięgając po książkę Szekspira czy Dantego i dopiero otwarta na ten temat dyskusja uświadamia ogromną rolę, jaką pełnią tłumacze w poszerzaniu naszego światopoglądu i pojmowaniu otaczającej nas rzeczywistości.

OKAZJĄ DO UŚWIADOMIENIA SOBIE WARTOŚCI PRACY tłumaczy jest niewielka, niepozornie wyglądająca książeczka Elżbiety Tabakowskiej *Tłumacząc się z tłumaczenia* wydana przez krakowski Znak. Znawcy i smakosze literatury w przekładach poznają w autorce osobę, której pracy zawdzięczamy polskie wydania książek niezmiernie popularnego brytyjskiego historyka Normana Daviesa, piszącego dla anglojęzycznych czytelników książki tak ważne dla zrozumienia współczesnej historii Polski, jak np. *Powstanie '44*. Dyskusja o przekładzie tego właśnie dzieła na angielski i polskiego przekładu *Wysp* Daviesa stanowi temat rozważań i "tuma-

czenia się z tłumaczenia" autorki obu przekładów.

Dla ułatwienia dyskusji Tabakowska wprowadza wątek dyskusji między co najmniej trzema postaciami zasadniczymi dla poznania procesu przekładu – Autorem, Tłumaczem i Czytelnikiem, przy czym rozróżnia między "autorem konkretnym" a "autorem wewnętrznym", podobnie jak między "czytelnikiem idealnym" a "czytelnikiem realnym" i innymi, co prowadzi do konkluzji, że w sumie występuje "ponad tuzin osób" (s. 36). W sposób dowcipny i przekonujący autorka obdarza każdą z tych postaci rolą w tworzeniu, odbiorze i rozumieniu przekładu, a są to role niebiałe.

W ROZUMIENIU TABAKOWSKIEJ TŁUMACZ to ktoś więcej niż tylko osoba oddająca w obcym języku treść danego dzieła. Tłumacz musi rozumieć zarówno "idealnego", jak i "konkretnego" czytelnika, adresować swoje przesłanie do każdego z nich, objaśniając, a gdzie trzeba uzupełniając lub nawet pomagając zrozumieć sprawę dla obcego czytelnika zbyt trudne lub zwyczajnie obce. Tego rodzaju funkcja prowadzi nieraz do zabawnych nieporozumień, czego liczne dowody znaleźć można w jej książce. Tak na przykład Norman Davies, chcąc anglosaskiemu czytelnikowi możliwie najbardziej przybliżyć i przyswoić realia Powstania Warszawskiego, postanowił przetłumaczyć na angielski nazwy dzielnic Warszawy (Żoliborz to Joliebord, Powiśle – Riverside District itp.) oraz pseudoni-



Elżbieta Tabakowska

my. W ten sposób generał Okulicki "Niedźwiadek" staje się Bear Cub, jeden tylko generał Bór zachowuje oryginalną wersję swego pseudonimu, podaną dla ułatwienia w fonetycznej transkrypcji, co powodować może raczej niemiłe skojarzenia, ponieważ za nadto przypomina angielskie słowo *boar* (wg Słownika Fundacji Kościuszkowskiej – knur), a pobliskie fonetycznie *boor* to zwyczajny cham. A tymczasem włoski tłumacz angielskiego wydania *Powstania '44*, najwidoczniej nie znając realiów okresu, przełożył: *il generale Bear Cub*. Czytelnik "idealny" będzie wiedział, że Bear Cub to po angielsku niedźwiadek i że "Niedźwiadek" to pseudonim Okulickiego, ale przeciętny zjadacz makaronu, a nawet niefortunny tłumacz? "Kim jest dla niego i dla jego czytelników?" – zapytuje Tabakowska (s. 62).

AUTORKA NIE OGRANICZA SIĘ do cytowania pouczających, a zabawnych przykładów, sięga bowiem do wywodów z teorii tłumaczenia, co nie tylko znakomicie poszerza dyskusję, ale pozwala czytelnikowi zastosować podawane zasady do dowolnie obranego tłumaczenia. "Ma to być książka o tym, jak wygląda tłumaczenie książki – w teorii i praktyce" – cytuje fragment swoich wcześniejszych na ten temat rozważań (s. 15). Biorąc za podstawę dwie nowe książki Daviesa, jak wspomniano wcześniej, "bardzo brytyjskie Wyspy i bardzo polskie *Powstanie '44*", ma Tabakowska

szeroką możliwość porównania problemów pojawiających się przy pracy nad dwiema wersjami językowymi, angielską i polską. Cytując teoretyka przekładu Lawrence'a Venutiego Tabakowska stosuje jego określenia "egzotyzacja" i "udomowienie", z których pierwsze określa "wysłanie czytelnika w zagraniczną podróż", drugie zaś to "sprowadzenie autora do kraju czytelnika" (s.52-53). Znalazienie językowych odpowiedników dla tych procesów staje się niejednokrotnie dla tłumacza koszmarem, a "Redakcja rwie włosy z głowy", gdy przychodzi np. do spolszczenia nazw wymyślonych przez autora dla prehistorycznych krain Wysp Brytyjskich (s. 54). Trudności pojawiają się także przy nazwach istniejących w rzeczywistości "tu i teraz" lub w stosunkowo niedawnej przeszłości – jako przykład Tabakowska przypomina zmieniającą się nazwę dzisiejszej Dominikany (Santo Domingo, Saint-Dominique, Saint-Domingue, Hispaniola, Haiti) i konkluduje, że "w efekcie element świata rzeczywistego zmienił się w element fantastycznego świata przedstawionego" (s. 56).

RZECZ NIE W NAZWACH JEDYNIĘ, "problemy bowiem pojawiają się już na poziomie składni", pisze autorka (s. 65) omawiając istotne dla tłumaczenia zagadnienia sympatii i empatii. Podczas gdy pojęcie sympatii jest ogólnie zrozumiałe, empatia wymaga paru słów wyjaśnienia: zaczyna się "od zamiaru spojrzenia

cudzymi oczyma, a kończy na współodczuwaniu z właścicielem cudzej pary oczu" (s. 66), a więc znów rola tłumacza staje się zasadnicza. Musi on "grać z autorem na jednej strunie", pilnować, "żeby nie ucierpiał niezastuzenie – na przykład w wyniku zderzenia się ze sobą dwóch odmiennych kultur" (s. 68). Tłumacz zatem powinien współodczuwać z autorem, ale musi także współodczuwać z czytelnikiem, a ponieważ autor identyfikuje się ze swoimi postaciami, tłumacz musi współodczuwać i z nimi (s. 71). Inaczej mówiąc, Davies twierdzi, że pisarz za pośrednictwem tłumacza "albo przekonująco opowie to, co ma do powiedzenia, albo zostanie skazany na zapomnienie" (s. 72).

Kwestia następna to punkt widzenia, gdyż "wprawdzie patrzymy na to samo, ale to, co i jak widzimy, zależy od przyjętego punktu widzenia" (s. 78), przy czym wyrazy bliskoznaczne nigdy nie są jednoznaczne, a różnice płyną z odmienności punktów widzenia. Tę tezę Tabakowska ilustruje mnóstwem przykładów zaczerpniętych z obu książek Daviesa, podkreślając rolę przekładów w precyzyjnym oddawaniu znaczeń, a nawet odcieleniu znaczeń, takich, jakie chciał im nadać autor. Pisząc o roli języka autorka słusznie zauważa, że "siła słowa jest ogromna, a jest narzędziem dostępnym dla każdego, kto go używa – a więc także dla tłumacza. Jak każde narzędzie wymaga od użytkownika określonych umiejętności i sprawności, i – jak każde narzędzie – nie zawsze działa bez zarzutu" (s. 117).

W PRZYPADKU DAVIESA "autor stworzył swoim tłumaczom prawdziwe piekło"; "przykłady ich potyczek z polską fleksją można by mnożyć" (s. 120), a "frazologia też nie jest rzeczą prostą": "Dlaczego torebka jest damska, a strój jest kobiecy? Dlaczego okręt może być flagowy, a powieść jest sztandarowa?" – pyta tłumacz i dodaje: "czasem nawet zawodowy polonista nie potrafi sobie poradzić z opornym językowym tworzywem" (s. 121-122). Pomocą służyć może komputerowy system CAT (*computer aided translation*), choć też niepozabawiony poważnych problemów.

"Z materii słów rodzą się «duchy»: «duch oryginału» i «duch przekładu» – pisze Tabakowska w konkluzji swoich wywodów. – A że każdy porządny duch musi kogoś straszyć, te dwa duchy straszą tłumacza" (s. 166). I jak zawsze dowcipnie dodaje: "Czyżby kobiety wyraźniej słyszały głosy i lepiej znały się na duchach?" (s. 168).

Po lekturze tej znakomitej książki należy odpowiedzieć twierdząco.

Elżbieta Tabakowska, *Tłumacząc się z tłumaczenia*. Przedmowa Anna Szulczyńska. Wydawnictwo Znak, Kraków 2009, s. 168, cena 19 dol. plus 6,50 dol. porto w przypadku zamówienia z wysyłką (do nabycia w Księgarni Nowego Dziennika) tel. (212) 594-2386 e-mail: ksiazki@dziennik.com www.ksiazkionline.com

Droga Redaktor,

w grudniowej zawierusze internetowej zagubiło się jedno, ale dość istotne zdanie z drugiej części mojego szkicu "Moc i przemoc. Prozy Andrzeja Barta" ("Przeгляд Polski" z 1 stycznia 2010 r.).

To ostatnie zdanie z akapitu: "Pojmuję intencje autora, który postanowił dać jej drugie życie. Ta śmierć, poniesiona w warunkach skrajnego przymusu, jest tragiczna w pełnym rozumieniu tego słowa. Zapewne sporo było i jest zupełnie anonimowych kobiet i mężczyzn, którzy taką drogę wyjścia z sytuacji bez wyjścia obrali. Odebrali sobie życie, nie

Listy do redakcji

chcąc poddać się przemocy tajnych służb. Niewiele o nich wiemy. Nie należą do panteonu bohaterów narodowych. Nie wysadzili reduty, tylko wyskoczyli z okna. **Rozliczni katoni mogą być z siebie dumni, bo przecież niezawisły sąd nie mógłby skazać ich ofiar na śmierć**".

Z poważaniem,

Renata Gorczyńska

Przeгляд Polski

Tygodniowy dodatek kulturalny nowego dziennika
Redaguje Julita Karkowska

Adres redakcji:
333 West 38th Street,
New York, NY, 10018-5599
tel. (212) 594-2266 wew. 36
fax (212) 594-2383
E-mail: julita@dziennik.com
http://dziennik.com/przeгляд

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca

PRENUMERATA w formacie PDF bez czekania na listonosza!

www.dziennik.com/przeгляд



Ze świata kultury

Niebezpieczny zawód: reporter

Według dorocznego raportu międzynarodowej organizacji Reporterzy bez Granic, w ubiegłym roku zginęło na świecie 76 dziennikarzy, 573 zostało aresztowanych, a 157 musiało opuścić swoją ojczyznę. Wręcz masakra reporterów miała miejsce podczas wyborów regionalnych na południu Filipin. W ciągu jednego dnia z rąk prywatnej milicji lokalnego gubernatora zginęło 30 osób.

Bezprecedensowa fala aresztowań wśród dziennikarzy i blogerów przeszła także przez Iran po wyborach prezydenckich. Reporterzy, którzy musieli udać się na emigrację, pochodzą najczęściej z Iranu, Sri Lanki, Afganistanu, Pakistanu i Kolumbii. Zmuszając ich do wyjazdu, władze drastycznie ograniczają prasową wolność wypowiedzi. "To niebezpieczna tendencja i należy ją z całą mocą potępić" – oświadczył sekretarz generalny Reporterów bez Granic Jean-François Julliard.

Liczba zabitych dziennikarzy wzrosła w roku 2009 o prawie 30%. Większość z nich zginęła we własnym kraju. Wyjątkiem był wychowany we Francji hiszpański twórca filmów dokumentalnych Christian Poveda, zamordowany w Salwadorze. 15 reporterów straciło życie w wyniku ataków ekstremistów islamskich.

W ubiegłym roku wzrosła również liczba porwań. Najwięcej przypadków odnotowano w Meksyku, Afganistanie i Somalii. Nasiliły się działania cenzury. Na całym świecie zamknięto prawie 570 czasopism oraz stacji radiowych i telewizyjnych. Z kolei w kontroli internetu nadal dominowały Chiny, Iran, Tunezja, Tajlandia i Arabia Saudyjska. Za krytykę rządu na jednej ze stron internetowych i udzielanie wywiadów zagranicznym mediom popularny reżyser i satyryk z Birmy – Zarganar – został skazany na 35 lat więzienia.

Śladami Günтера Grassa

Do niemieckich księgarń w marcu trafi książka Kaia Schlütera zatytułowana *Günter Grass im Visier – Die Stasi-Akte*. Autor skorzystał z 2 tysięcy akt i dokumentów tajnej policji w byłej Niemieckiej Republice Demokratycznej, która przez lata szpiegowała twórcę *Blaszanego bębna*.

Inwigilacja rozpoczęła się w 1961 roku, kiedy Grass napisał list otwarty, w którym ostro potępił budowę muru berlińskiego. Stasi, odpowiednik Służby Bezpieczeństwa w PRL, nadała mu pseudonim "Bolzen" (Śruba) i podczas jego podróży po NRD śledziła każdy jego krok. "Grass był całkowicie otoczony przez szpiegów, donosicielami byli wszyscy jego oficjalni rozmówcy – członkowie Stowarzyszenia Pisarzy, przedstawiciele wydawców, rządowi dygnitarze, ludzie teatru... Osaczony był całkowicie. To naprawdę mnie zaszokowało" – wyznał Schlüter.

Informatorzy regularnie kontaktowali się z oficerem Stasi, opisując mu dokładnie, co Grass zrobił i powiedział. Wszystko to zostało starannie zapisane w dokumentach, które odtajniono w roku 1990. Schlüter dodał: "Nie spuszczały go z oka, od momentu kiedy przekraczał granicę w Berlinie Zachodnim. Grass twierdzi, iż nigdy niczego nie zauważył".

Puccini z kuflem piwa

Akcja opery Giacomo Pucciniego *Cyganeria* toczy się w XIX-wiecznym Paryżu i ukazuje życie francuskiej cyganerii artystycznej. Oryginalnej inscenizacji dzieła podjął się dyrektor artystyczny londyńskiej Cock Tavern Theatre Company – 27-letni Adam Spreadbury-Maher. *Cyganerie* wystawia bowiem w... pubie znajdującym się tuż pod teatrem. Wy-



W pięknej sali Wiedeńskiego Towarzystwa Muzycznego tradycyjny koncert noworoczny wykonała Wiedeńska Filharmonia pod batutą francuskiego dyrygenta Georges'a Pretre'a. Koncert transmitowały 72 kraje z całego świata

stępują w niej młodzi, początkujący śpiewacy. W Rudolfa wcielił się Christopher Diffey, a partię zakochanej w nim Mimi śpiewa 24-letnia Charmian Bedford. Spreadbury-Maher powiedział: "Chcemy przybliżyć operę zwykłym ludziom, którzy często uważają, iż ta forma sztuki jest dla nich niedostępna. Dlatego spektakl w języku angielskim postanowiłem zrealizować w pubie, gdzie można usiąść z kuflem piwa i zrozumieć, co śpiewają artyści".

Bilety na *Cyganerie* wyprzedano już do lutego. Miłośniczka opery Ann Moynihan wyznała: "Przedstawienie to widziałam wcześniej w Covent Garden, ale spektakl w Cock Tavern jest po prostu cudowny".

Caravaggio i Bacon – spotkanie niepokornych

Do 24 stycznia w rzymskiej Galerii Borghese potrwa wystawa zatytułowana "Caravaggio Bacon", na której zgromadzono dzieła XVII-wiecznego malarza włoskiego Caravaggia i XX-wiecznego artysty brytyjskiego Francisca Bacona. Kuratorka ekspozycji Anna Coliva powiedziała: "Bacon to jeden z najbardziej uduchowionych i dramatycznych twórców XX wieku. Z kolei dramat był w centrum artystycznego zainteresowania Caravaggia".

Obaj artyści, niepokorni i zbuntowani, byli homoseksualistami (choć uczeni podzielni są co do orientacji seksualnej włoskiego mistrza), a w ich życiu nie brakowało tragicznych wydarzeń. Partner Bacona – George Dyer – popełnił w roku 1971 samobójstwo; Caravaggio został skazany na karę śmierci za zabójstwo człowieka i musiał uciekać z Rzymu.

Caravaggio krytykowano za zbyt realistyczne i naturalne portrety, a jego wizerunki świętych o prostych, plebejskich obliczach budziły często oburzenie. Bacon, zafascynowany dziełami starych mistrzów, był przeciwnikiem sztuki abstrakcyjnej. Bohaterem jego obrazów, utrzymanych w intensywnych, żywych barwach, był najczęściej samotny, przerażony człowiek.

W Rzymie można zobaczyć m.in. tryptyki Bacona, namalowane po śmierci Dyera oraz *Głowę VI* – studium głowy papieża Innocentego X, namalowanego w 1650 roku przez Diega Velázquezę. Dzieła Caravaggia to *Dawid z głową Golia*-

ta, Madonna z wężem, Chłopiec z koszem owoców, Św. Jan Chrzciciel i Chory Bachus.

Dzieci słynnych rodziców

W paryskiej Oranżerii Ogrodów Tuileries trwa wystawa zatytułowana "Dziecięce modele- od Claude'a Renoira do Pierre'a Arditii". Pokazano na niej prace znanych artystów – obrazy i rzeźby – do których pozowały dzieci. Podziwiać można m.in. dzieła Renoira, Picassa, Deraina, Modiglianego, Cézanne'a, Redona i irańskiego malarza Davuda Emdadiana, który zmarł w Paryżu w roku 2005. Wystawionym dziełom towarzyszą fotografie, fragmenty filmów, wspomnienia i zapiski dziecięcych modeli, a także rekwizyty, które zostały utrwalone na płótnie.

Orff na szczycie

Według sondaży BBC najpopularniejszym utworem klasycznym wśród Brytyjczyków jest kompozycja Carla Orffa *O fortuna* z oratorium *Carmina Burana*.

Carmina Burana to zbiór XIII-wiecznych poematów łacińskich, do których Orff w latach 1935-36 skomponował muzykę. Fragmenty utworu usłyszeć można w amerykańskim horrorze *Omen*.

Na dalszych miejscach uplasowały się: *Szeherazada* Nikołaja Rimskiego-Korsakowa, *Śpiąca królewna* Piotra Czajkowskiego i *Romans Fis-Dur op. 28* Roberta Schumanna.

Stulecie Baletów Rosyjskich

W ubiegłym roku minęła setna rocznica sprowadzenia zespołu baletowego Ballets Russes do Paryża. Grupa pod kierownictwem impresaria baletowego Sergieja Diagilewa odniosła ogromny sukces i całkowicie zmieniła historię tańca. Jej repertuar opierał się na połączeniu tańca klasycznego, malarstwa i poezji. W zespole tańczyli m.in. Wacław Niżyński i Anna Pawłowa, twórcami choreografii byli Marius Petipa, Leonid Massin i Michaił Fokin, a scenografię projektowali Joan Miró, Maurice Utrillo, De Chirico, Henri Matisse i Pablo Picasso.

Z okazji rocznicy paryska Opéra Garnier przygotowała wystawę poświęconą Ballets

Russes, która będzie czynna do końca maja. Dyrektorka Opery Paryskiej Brigitte Lefevre powiedziała: "Byli jak powiew świeżego powietrza, pełni wigoru i wyobraźni".

Na ekspozycji, na której zgromadzono rzadkie fotografie, akwarele, fragmenty filmów, kostiumy i szkice scenograficzne, prześledzić można wczesne lata działalności zespołu. Uwagę przyciągają projekty rosyjskiego dekoratora Léona Baksta, zafascynowanego sztuką Azji (do stworzenia scenografii do baletu *Le die bleu* zainspirowały go świątynie w Angkorze). Można też obejrzeć operową lornetkę Diagilewa, jego cylinder i teczkę z krokodylęj skóry, a także pastelowe rysunki Niżyńskiego, które powstały, zanim zapadł na chorobę psychiczną.

Wystawę poświęconą Ballets Russes zorganizowano również w Centrum Tańca w Pantin koło Paryża i w Centrum Kostiumów Teatralnych w Moulins.

Kraj Grzmiącego Smoka

W Narodowej Galerii Sztuki Współczesnej w New Delhi otwarto wystawę "Bhutan: An Eye to History", na której zaprezentowano 80 czarno-białych i kolorowych fotografii. Najstarsze z nich pochodzą z końca XIX i początków XX wieku i nigdy wcześniej nie były pokazywane publicznie. Ilustrują oficjalne wizyty ówczesnego króla Bhutanu w Kalkucie i Delhi. Druga część wystawy poświęcona jest stosunkom indyjsko-bhutańskim i obejmuje liczne fotografie prasowe. Na mocy traktatu z 1949 roku leżące w Himalajach królestwo Bhutanu (zwane Krajem Grzmiącego Smoka) jest politycznie nadzorowane przez Indie, które prowadzą jego politykę zagraniczną i obronną. Ekspozycję zamykają fotografie wykonane przez obecnego króla Jigme Khesara Namgyela Wangchucka, który wielokrotnie przemierzył kraj, często na piechotę, utrwalając w kadrze życie codzienne jego mieszkańców i piękno dzikiej przyrody. 30-letni władca, wykształcony w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, pragnie – mimo licznych oporów ze strony poddanych – zmodernizować swoje małe królestwo. W 1999 roku wprowadzono w Bhutanie telewizję, a rok później – internet.

NA PODSTAWIE RÓŻNYCH ŹRÓDEŁ
OPR. MAŁGORZATA MARKOFF